№ 37. Warszawa, d. 30 Sierpnia (11 Września) 1869 roku.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.— w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.*

Treść Numeru. Kanton grizonów i rodzina Camenisch na Heinzenbergu. —Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elizę Orzeszkową. — (Wiersz). — Korespondencja z Madrytu. — Lamartine. —Od Redakcji.

KANTON GRIZONÓW

I RODZINA CAMENISCH NA HEINZENBERGU.

Tam gdzie nowo-narodzonego Renu wązka struga wartkim pędem od kolebki swéj odbiega, by spotkać się co prędzéj ze swym bliźniakiem i wspólnych sił połączeniem większy, pełniejszy żywot rozpocząć, — sam natura zda się dla wyprobowania hartu młodego junaka, nagromadziła zapory i tamy olbrzymie, przez które się przedziera zuchwały młodzian, wojując podstępem i siłą. Wydarłszy się z szumem z lodowych otchłani, których wiekuistem siedliskiem łono wyżyn wyniosłych i niebotycznych szczytów alpejskich (1), z początku potok rzuca się kipiąc w górną dolinę *Rheinwald*, wyniesioną na cztery tysiące stóp nad poziom morza. Aliści nie długo potężna skała *Sasaplana* drogę mu tamuje. Wyżłobił sobie w niéj przejście, niby bramę potworną, która go wprowadza w krainę dzikiéj strasznéj grozy, okropny obraz spustoszenia i rozpaczy, istny chaos przedstworzenia. Olbrzymie niekształtne massy piętrzą się jedne na drugich. Rzucisz okiem na dół, pod tobą przepaście i otchłanie bezdenne, mrużysz wzrok strwożony, zawrót głowy cię porywa, — spojrzysz do góry, tam skały bez liku wychylają łyse głowy, jedna po nad drugą, owdzie nagie prostopadłe ściany jedna na drugiéj pozawieszane, a na niektórych jakieś straszne szczątki zniszczonych lasów: czy pożar tego zniszczenia sprawcą, czy trąba wietrzna drzewa zdruzgotała? któż to wie? Wszelkie katastrofy te miejsca nawiedzające, nigdy świadkiem ludzkiego nie miewają oka. Nikt nawet nie zbiera poobalanego drzewa, a pnie strupieszałe w chaotycznym bezładzie po urwiskach zaczepione wiszą. Na wszystkiem okropne zburzenia znamię. Tam życie nigdy się nie uśmiechnęło; śmierć zdaje się że tron sobie ustawiła w pośród téj martwéj choć groźnéj przyrody. Czasem tylko płochliwa dzika koza przemknie się nad przepaściami, jakby się mignął znikomy cień Erebu, przerażającą ciszę przerywa tylko głuchy strumieni górskich łoskot, a nad tem bezludnem pustkowiem sęp żarłoczny wzlatuje, pod obłokami wysoko szybuje orzeł alpejski. Ren nieustraszony raz się wydziera na wierzch, kaskadami zeskakuje, to znów szumi w rozpadlinie głęboko: czasem go nie widać, ale słychać zawsze, i tak przebywa zwycięzko to dzikie gór przejście, nazwane *Roffla*, będące niby progiem, przez który z jednéj wyniosłéj doliny, zstępuje się w drugą niżéj położoną.

Teraz jakby na odetchnienie po trudach i znojach, młody zapaśnik zmienia swojego biegu kierunek, i zwracając się ku północy, przepływa spokojnie płaską dolinę *Schams*, bogatą w pastwiska i sianożęcie.

I otóż znowu sterczy mu ścianą olbrzymią, silne gór przedmurze. Można przypuścić iż ognie podziemne współdziałaniem swojem ułatwiły potokowi przewiercenie w téj skalistéj tamie rozpadliny głębokiéj, milowéj długości. To owa okrzyczana w średnich wiekach *Via mala*, którą tylko nieustraszony myśliwiec kóz dzikich odważał się lekką przebywać stopą; wojska zaś, pielgrzymi i krzyżownicy woleli się wspinać po wysokich stromych górach i okrążając tę straszną otchłań, w wyższe odgraniczone przez nią dostawać się doliny. Dopiero śmiały przemysł naszego stulecia, którego nie zrażają niepojęte trudności, potrafił wśród tych niedostępnych skał i przepaści zbudować godny podziwu gościniec, który dziś liczni przebywają podróżnicy, ale który wszakże zachował dawne swe miano *Złéj drogi*. Natura przedstawia tu obrazy jakich żadne pióro, żaden pędzel nie pokusi się odtworzyć. Ren przedziera się samym dnem otchłani, miejscami tak ujęty w prostopadłe ścięte skały, że go prawie dojrzeć trudno, a wcale niepodobieństwem drogę wzdłuż potoku przeprowadzać. A więc się wije gościniec wzdłuż ścian rozpadliny w połowie ich wysokości, czepia się już to po jednéj już po drugiéj stronie przeskakując rzekę sztucznemi mosty, czasem na murowanych arkadach nad przepaścią się wiesza, to wbiega w wydrążone w skale bramy i korytarze. Niekiedy widać dobrze zieloną wodę Renu płynącego w głębokości 300 — 400 stóp; drugi raz znowuż na moście nawet stojąc, wśród sterczących z obu stron opok, co pochylone ku sobie jakby się zahaczały i pociągały wzajemnie, zaledwie dojrzeć można srebrzystych szumów, któremi się fala szmaragdowa pieni, jak gdyby z gniewu na spotykane zawody. Tak walcząc z dziką natury fantazją, potok i gościniec przedzierają się aż do *Thusis*, mieściny małéj, co się usadowiła w ciasnéj głębokiéj kotlinie. Ztąd, już się wynurzywszy na powierzchnię ziemi, wolniejszym spadkiem Ren biegnie, w łożysku wązkiem acz głębokiem i głazami najeżonem, gdzie skacząc po kamieniach, bezustannie się białą okrywa pianą.

Po prawéj stronie brzeg stromy, nagie, poszarpane skał biodra; na lewo dolina to się zacieśnia, to znów rozszerza, ciągnąc się u podnóża wyżyny *Heingenberg*, która swym długim grzbietem równoległa rzece, od góry raptownym spadkiem, a od połowy pochyłością łagodną ku dolinie Renu zbiega. Przez romantyczną *Tomiliaska* (Domleschg) dolinę, porozdzieraną przez dzikie górskie potoki, *Hinter Rhein* przybywa aż pod zamek *Reichenau* gdzie się łączy z nadpływającym od zachodu strumieniem *Vorder Rhein*.

W całym tym jego przebiegu otaczają go ze wszech stron, bliżéj i daléj, obrazy najcudniejsze, a jak urozmaicone! W pośrodku grozy najdzikszéj, raj najrozkoszniejszy, wdzięki urocze łączą się z majestatyczną wielkością. Pomiędzy lodów morzami szumią czarne bory, alpejska róża kwitnie na stroméj opoce, łany kołyszącym się pokryte kłosem wiszą nad przepaścią, któréj brzeg spiekły, nurty zielenią wieńczą. Sędziwe olbrzymy których dzieciństwa i wzrostu nie oglądało żadne śmiertelnika oko, głowy białemi niebios sięgają, nieme i niewzruszone patrząc na przemijające u swych nóg pokoleń drobnych tysiące: poniżéj na ich potężnych łączących się z sobą barkach, drzemią śnieżyste i lodowe pustkowia, gdzie tylko w norach głębokich bobaki przytułek swój mają, a niedostępne jaskinie kryjówką ponurego wilka lub niedźwiedzia samotnego; — tuż pod niemi rozściełają się ciemno-zielonym kobiercem górskie pastwiska, gdzie na letnie miesiące pasterz trzody swe wypędza. W bliskości téj wiecznéj zimy zielenią się mchy i krzewy stref podbiegunowych, świerki i cedry Sybirskie, a czasem nawet wysoko wśród śniegów słoneczna oaza błyszczy różnobarwnem alpejskiem kwieciem. W dolinie u stóp góry, na jéj stoku lub urwisku, sterczy jedyna pozostała połać murów jakiegoś odwiecznego *Burgu* (2) i patrzy posępnie na walające się u nóg jéj gruzy i kamienie, co przed wieki stały z nią wspólnie groźnemi ściany; lub jaka wieżyca samotna, jakby duch zmarłéj dawno przeszłości, dumający nad dzisiajszem życiem, spogląda na okoliczną krainę, dla któréj niegdyś była pogromem. Czasem prostopadle ścięta skała jakby olbrzymi mur Tytanów, na cyplu wyskakującym nad potok, unosi potężne zamków baszty po większéj części w ruinach bluszczem osnutych, jakby odzianych godową szatą na uczczenie zgrzybiałości tych pomników dawno ubiegłych wieków. Jedne z nich świadki i współczestniki

(1) *Hinter Rhein* ma swoje źródła w licznych *gleczerach* na jednym z najpotężniejszych łańcuchów Alp, którego główne szczyty i główne kolebki téj odnogi Renu są *Moschelhorn* i *Pik Val Rhein* wysoki na 10,280 stóp nad powierzchnią morza.

(1) W żadnéj okolicy Szwajcarji niema tak wielkiéj liczby dawnych zamczysk lub ich ruin jak w kantonie Graubünden czyli Grizonów, gdzie ich do 180 rachują, rozsypanych po dolinach, wzgórzach i skałach. Niektóre z nich zamieszkane jeszcze dzisiaj.

tyranii średniowiecznego feudalizmu, a drugie wcale nieznanego początku, zabytki jakiejś o wiele odleglejszéj starożytności, przeddziejowéj epoki.... owdzie znów uśmiechnięte wzgórza wynurzają się z pomiędzy wieńców z drzew owocowych; wysoko na pochyłości wioseczki strzelając w górę śpiczastą dzwonnicą kościołka, same ciekawie z góry zaglądają w dolinę, gdzie rozproszone ich siostry; tam znów samotne chatki jak gniazdka jaskółcze poprzylepiane do boku spadzistéj góry.

Nagłe atmosferyczne zmiany téj krainie właściwe, pomnażają jeszcze tę dziwną rozmaitość widoków, nadając im coraz to odmienną fizjognomię. W dniu słonecznym oko tonie w przezroczach błękitu, cały majestatyczny krajobraz w jasnych barwach płonie, srebrzą się na szczytach śnieżne korony na których tęczowe igrają barwy, — naraz, spuszcza się kortyna: ćmiły się przezrocza, zgasły gry barw i świateł, ścieśniły się rozległe widoki; szare mgły gęstéj opony rozwieszają się od skały do skały, w fantastycznem złudzeniu zbliżają się dalekie góry, całą widownię dzielą niby kulissy a za każdą inny osobny obraz...

Podczas gdy wzrok i myśl wędrowca gubią się w tych niepojęcie różnorodnych sprzecznościach, w ucho mu wpada znana nuta pieśni alpejskich pasterzy, która gdy jéj wtorują dzwonki trzód, odgłos rogu i skał okolicznych echa, ma w sobie jakiś niepojęty urok, niby natury łagodne tony i dźwięki. Nagle wrażenie rozkoszne przerywa dalekie przerażające huczenie, niby przeciągły silnych gromów turkot, albo się rozlega huk rozgłośny, powtarzany, podobny do dalekich armatnich strzałów — to lodów wieczystych kryształowe pękają sklepienia, tamto zaś odgłos spadających mas śniegowych, tych strasznych lawin, co albo wichrem pędzone i rozproszone zaćmiewają powietrze i zasypują wszystko na około, lub się gwałtownie staczając ze stroméj góry, druzgoczą i niszczą co tylko na swojéj spotykają drodze: trzody, ludzie, wsie całe, lasy nawet giną pod tym wściekłym napadem. Częstokroć zabierają z sobą ogromne głazy, granitowych skał odłamy, które na wieki pozostają w dolinie jako pomniki straszliwéj godziny. Wszakże tak silną jest moc przyzwyczajenia, iż ci co z życiem uszli, znowu na tem samem miejscu budują i osiadają (1).

Nie tu jednakże koniec téj rozmaitości nadzwyczajnéj i zestawionych tuż obok siebie uderzających sprzeczności jakie w téj okolicy zadziwiają przychodnia, inne odmiennéj natury nastręczają się uwadze badacza na każdym niemal kroku.

W ogólności cała Szwajcarja, na tak niewielkiéj przestrzeni jaką zajmuje, przedstawia tyle sprzecznych z sobą wszelkiego rodzaju różności, jakich się w żadnym innym nie napotka kraju. Przebiegając ją spotkasz wszelkie ostateczności temperatury, od rozkosznego włoskiego klimatu wraz z bogatemi winnicami, figowemi i cyprysowemi gajami, aż do mroźnych Grenlandji wichrów, z jéj lodami i śniegami, z jéj karłowatą roślinnością i porostami; szeroko rozlane źwierciadlane ciche jeziora, i dzikie z wysokości gór z szumem spadające potoki; skały jałowe, i doliny lub wzgórze okryte świeżą zielenią łąk i pastwisk. Z kantonu do kantonu przechodząc spotykasz się już z inną mową, odmienną religią, odrębnemi prawami i urządzeniami; im mniejsza różnica w obyczajach, ubiorach, zabawach, tem większa w oświacie, w pojęciach i potrzebach, w stopniu ukształcenia i rozwoju przemysłowego. W tym ostatnim zwłaszcza względzie, znajdzie się w używaniu wszystko co tylko którekolwiek wieki od najdawniejszéj starożytności aż dotąd wydały: jest to nakształt ciekawego działu *Dziejów postępu pracy* na ostatniéj Wystawie Paryzkiéj. Cała ludność złożona ze szczątków najrozmaitszych narodowości, przebyła długie wieki aż do naszych prawie czasów pod uciskiem feudalizmu: panowie w wiecznych niezgodach i bojach, lud tyranizowany, zajęty jedynie chowem bydła i po części rolnictwem. Kłótnie i wojny religijne, nigdy prawie nie ustające od czasów reformy, także nie małą były zawadą do rozwinięcia się postępu, który się też objawiał nadzwyczaj powolnie, wciskając się od postronnych narodów za pośrednictwem stosunków społecznych. Długiego wszakże potrzeba było czasu zanim się wszystko dało wyrównać, zagodzić, i długo nieprzyjazne sobie stronnictwa polityczne i religijne szarpały łono narodu rozterkami a często nawet krwawemi zajściami. Niezmordowana praca niektórych pojedynczych gorliwych stronników pokoju i zgody, a głównie akt związkowy 1848 r. przyczyniły się do uspokojenia niesnask i zaburzeń, i dopomogły tem samem téj krainie rozwijać się odtąd na równi z innemi Europy ludami. Drogi, koleje żelazne, pomnażając stosunki, ułatwiając zamiany handlowe, podniosły przemysł współzawodniczący dziś w pewnéj mierze z ogromnym postępem przemysłowym innych krajów; staranie względem szerzenia oświaty i nauk szczególniéj znamienite wydały owoce: wolno jednakże nadmienić, iż na téj cywilizacji pozostała pewna szorstkość, wyróżniająca wszędzie syna dawnéj Helwecji. Wszakże przy tych znakomitych zmianach, niepodobieństwem jednak naruszyć w czemkolwiek to wszystko, co przez tak liczne wieki w naród wsiąkło i wzrosło: zatem niema zjednoczenia, różnice nie zatarły się bynajmniéj i istnieją zawsze w wyznaniach, mowie, obyczajach i prawach. Każdy kanton mając wewnętrzną swoją niezależność, tem samem posiada i własne urządzenia, nastrojowi odrębnemu jego ludności odpowiednie. Same już fizyczne warunki uniemożebniają wszelkie niwelacji pokuszenie się. Cechy pochodzenia pozostały wypiętnowane głównie w najbardziéj górzystych stronach, w odosobnionych wyniosłych dolinach, gdzie mieszkaniec wśród śniegów i lodów, sąsiadując prawie z niedźwiedziem, skałami i lasami, odgraniczony od reszty świata, pozostał surowym, ciemnym i nieokrzesanym, a nie troszcząc się nawet o ulepszenie gospodarskie i wygody życia, przechował wszystko w stanie pierwotnym.

Wszystkie te osobliwsze rozmaitości, tak w naturze jak w pochodzeniu mieszkańców, ich języku, wierze i zwyczajach, po całéj Szwajcarji rozsiane i wyróżniające pojedyncze kantony, zdaje się streszczać w sobie kanton *Grizonów*, gdzie wszystko jest godnem zastanowienia się i badania, a przecież w ogóle tak mało znane. Zwiedzający Szwajcarją zwykle starają się obejrzeć to co jest już przez drugich znane i za ciekawe okrzyczane, tem bardziéj iż przebywanie tych wszystkich miejsc jest dziś wszechstronnie ułatwionem i wszelkie nawet dla podróżnych obmyślano wygody. Lecz ci co przez *Graubünden* przejeżdżają pocztowym gościńcem od *Chur* przez *Via mala Splügen*, przez grzbiet wyżyn alpejskich i południowym ich spadkiem przez *Chiavenną* lub przez *Pselinzonę* ku *Lago maggiore* do Lombardji, podziwiają tylko przydrożnych krajobrazów romantyczno-dziką wspaniałość i wielkość znamionujące tę okolicę; lecz ażeby widzieć i poznać wszystko co w niéj jest nader ciekawem i nauczającem, potrzebaby zadać sobie pracę przebiegać ją w różnych kierunkach, od doliny do doliny, i przypatrzyć się wszędzie coraz to odmiennym zjawiskiem.

Mały ten kraik — który właściwie od niedawnych czasów jako kanton *Graubünden* stanowi część związku Helweckiego, od wielu wieków nosił nazwę *górnéj Recyi*, jak utrzymują od łacińskiego wyrazu *rete*, sieć, zastosowanego do licznych rozgałęzień wiążących się z sobą Alp łańcuchów. — Z przechowywanych wiecznie na swych wysokościach śniegów i lodów, sączące się wody szle daleko na wszystkie świata strony, a potężnemi gór swych odnogami na zachód, wschód i południe w odległe kraje sięga, sam zaś położony jakoby na rozstajnych drogach, przez długie wieki służył za zwykły gościniec wielkiemu mnóstwu narodów, które swych gęstych przechodów ślady pozostawiły na wszystkiem, i dzisiaj jeszcze natrafia się je wszędzie, w języku, rassowych odmiennych rysach mieszkańców, w obyczajach i wszelkich znamionach różnych narodowości.

Na pięć przeszło wieków przed Nar: Chr: *Rhaetus* z *Tuscyi*, wódz Etrusków, wyparty z własnego kraju przez Gallów, ze swojemi podwładnemi osiadł na wyniosłych dolinach u reńskich źródeł, i wraz z niemi zamieszkała pomiędzy dwoma strumieniami Renu mowa, jakiéj w Rzymie używano. Nie wiele późniéj inne zbiegi z *Latium* przybywszy w te strony, osiedlili się nieco ku wschodowi, w dolinach Engaddin i daléj. Pierwsi swój język nazywali *romańskim*, drudzy *ladyńskim*. Wielkie mnóstwo nazw wiosek, miast i miejscowości przypomina ten ich początek łaciński, jak *Lavin*, *Albula*, itp. Same miasto dziś naczelne kantonu, będąc kiedyś strażniczą załogą rzymską nosiło nazwę *Curia Rhaetorum*, zkąd dzisiejsze *Chur*, *Coire*. Niektórzy badacze starożytności utrzymują nawet, iż zamek *Realta*, którego zwaliska na stroméj opoce o 500 stóp wysoko nad miasteczkiem *Thusis* się wznoszą, był zbudowanym przez samegoż etruskiego *Rhaetusa*. Te ruiny zatem, dziś jeszcze potężne i silne, może od dwudziestu kilku wieków nad piękną doliną *Domleschg* panują, pomne czasów owych, kiedy Helwecja była pustynią, samemi górami zamieszkaną.

W średnich wiekach podług tradycji, Cesarz Fryderyk *Rudobrody* w czasie swéj wyprawy do Lombardji, miał pozostawić załogę niemiecką w *Spelugu* (*Splügen*) niedaleko źródeł tylnego Renu, dla strzeżenia przejścia przez góry. Gdy się niepowiodła wyprawa i cesarz nie wracał, Niemcy pozostali w téj okolicy, a wioski niemieckie w *Rheinwald*, jednéj z najwyniośléjszych dolin Renu stanowią jakby oddzielne niezależne państwo, którego mieszkańcy jako *Freyen am Rhein* bardzo wcześnie się ukazują w dziejach téj krainy; język ich między niemi pozostał i rozszedł się daléj, przyjęły go nadreńskie miasto *Thusis*, *Chur* i inne. Lecz większa część mieszkańców poprzednich trzymała się dawnéj swéj mowy, z tem wszystkiem bardzo już zmienionéj, gdyż przez wędrówki ludów wmięszało się było do niéj mnóstwo wyrazów od Celtów, Gotów, Longobardów i innych narodów, i tak powstał dzisiejszy język romański, którym mówią w szczególności w *Graubund* i *Gotteshausbund*. Lecz i niemiecki także wcale dziś nie zrozumiały dla mówiących czystą niemczyzną. Jest to narzecze mające najwięcéj podobieństwa do języka średniowiecznych *Minnesänger'ów*, a nawet znajdują się w niem wyrazy jeszcze dawniejsze, które się jedynie w *Niebulungen* przechowały. Dla nas przypomina oto nadzwyczaj mowę będącą we zwyczaju u pospólstwa żydowskiego szczególniéj w niem uderza brzmienie spółgłoski *ł*, i chrapliwe wymawianie *ch*. Podobnego zresztą narzecza, z pewnemi odmianami, używa ludność wszystkich innych niemieckich kantonów Szwajcarji, gdzie nietylko gmin, ale i najoświeceńsza warstwa mieszkańców, znająca dobrze piśmienny język niemiecki, w rodzinnych i towarzyskich stosunkach posługuje się powszechnie tą zepsutą mową.

Język romański jakkolwiek się składa po większéj części z zepsutych wyrazów łacińskich, hiszpańskich, włoskich i francuzkich, a nawet wielu przekształconych niemieckich, jednakże właściwie nie może być mianowanym narzeczem gminnem, wszak mowy Portugalczyków, Hiszpanów, Francuzów, i Włochów na takichże samych kształciły się warunkach, i dla tego tyle pomiędzy niemi różnicy, a jednocześnie podobieństwa tak wiele. Język ten wielokrotnie już zwracał na siebie uwagę uczonych badaczów, lingwistów i etnografów. Jakkolwiek na początku dopiero obecnego stulecia, zjawiła się pierwsza gramatyka przez pastora Conradi i tegoż samego autora słownik niemiecko-romański, i romańsko-niemiecki, wszakże jeszcze na początku XVII wieku drukowano w tym języku najpierwszy katechizm i nowy Testament: w XVIII księgi starego Testamentu, i zbiór pieśni tłómaczonych z Gallerta i innych, które śpiewają w protestanckich kościołach w *Graubünden*, gdzie ludność po romańsku mówi. Bliżéj naszych czasów wychodziła Zschokke'go Historja Szwajcarji i wiele ludowych pism wychowawczych. W dolinie *Thusis* wychodzi dziennik w języku romańskim.

Język *ladyński* którym głównie w dolinie Enagddin mówią, jest djalektem bardzo mało się różniącym od romańskiego, tylko że ten ostatni twardy i ostry, przypomina tego rodzaju szorstkie narzecza hiszpańskich Basków, podczas gdy ladyński, przez częstsze stosunki z Włochami stał się miększym i łagodniejszym, przez co się więcéj do poezji nadaje, i dla tego w tym języku pisane są poetyckie utwory dzisiejszych kilku autorów jak: *Caderas*, *Caratsch*, *Palioppi* i inni. Wychodzi także w téj dolinie dziennik pod tytułem: *Fögl d'Engiaddina*.

W niektórych wioskach *Gotteshausband* mówią także po włosku, a niemiecka mowa oprócz doliny *Rheinwald* i wielu miejsc nadreńskich, panuje także w *Zehngerichtebund* w północno-zachodniéj stronie ku granicom Tyrolu. Są strony w których w każdéj dolinie inaczéj mówią, a także i takie gdzie wioski sąsiadujące bezpośrednio z sobą, każda innego używa języka, chociaż wzajemnie siebie dobrze rozumieją. W kościołach najczęściéj jednéj niedzieli usłyszy się kazanie w języku romańskim, a w następną w niemieckiem narzeczu przez jednego i tegoż samego kaznodzieję powiedziane, dla tak różnoplemiennéj

(1) Jednym z uderzających przykładów potęgi jaką ma przyzwyczajenie, jest wioseczka *Felsberg*, którą wskazują podróżnym niedaleko *Reichenau*. Dwukrotnie była zniszczoną przez upadek ogromnych odłamów skał ją otaczających, i za każdym razem cząstka jéj mieszkańców uratowana w téj katastrofie, odbudowała ją na nowo, a ich synowie żyją w niéj daléj pod ciągłem zagrożeniem podobnegoż nieszczęścia.

różnojęzycznéj ludności, któréj odmienne pochodzenie, niemniéj jak w mowie, widocznem jest w rysach ostrych i wydatnych a kruczych kędzierzawych włosach u potomków italskich Etrusków, podczas gdy w innych typach równie dobitnie wyróżnia się germański pierwiastek właściwemi sobie cechami.

W tym ogromnym labiryncie dolin poodgradzanych od siebie siecią krętych łańcuchów gór, kiedy wędrówki ludów ustały, ludność zasklepiona u siebie, jakby szańcami obwarowana, bez styczności prawie jedni z drugiemi a tem mniéj z resztą cywilizującego się i postępującego świata, gnębiona tyranią pojedyńczych Grafów, Baronów i Opatów, przez kilka wieków, które aż do końca ostatniego były jednem pasmem zaburzeń, buntów i okrucieństw, przechowała patryarchalnych czasów nieświadomość i prostotę, wtedy nawet, kiedy w innych okolicach Szwajcaryi pomimo równie niekorzystnych wewnętrznych warunków, lecz przez łatwiejszą styczność z ościennemi narodami, oświata szczególniéj w miastach zaczynała już robić pewne postępy.

Za dni naszych stan ten o wiele się zmienił, a właściwiéj mówiąc urozmaicił.

Miast kraj ten nie posiada prawie, wyjąwszy naczelne kantonu z kilkutysięczną ludnością, i drobne mieściny nie różniące się wiele od wiosek; przed przyłączeniem się swojem do Szwajcarji, składał się z trzech części związkowych, a te znów się dzieliły na 26 państw drobnych, niby rzeczypospolitych rządzących się niezależnie każda w sobie, zwierzchność bowiem panów nie była bynajmniéj zarządem, tylko gnębiącym uciskiem. Jakkolwiek od stanowczego wcielenia do Związku, wiele rzeczy znakomitym uległo zmianom i zarząd skoncentrował się pod niektórymi względami, wszakże gminy mają zawsze po większéj części swoje własne odrębne ustawy i prawa, i zaprowadzają w nich zmiany niezależnie je rozstrzygając. Często wioska jedna stanowi u siebie swój własny zarząd, które podawane mu projekta przez zwierzchnicze kantonu władze przyjmuje lub odrzuca samowolnie. To rozstrzelenie wszelkiego interesu gdzie indziéj ogólnego i wspólnego całemu narodowi, a więc łączącego wszystkich jego członków, łatwo da zrozumieć jakim sposobem zachowuje się w tak małym kraju taka niejednolitość i osobliwsza niejednostajność w ustroju społeczeństwa. A więc i oświata idzie nie ogólnym napływem, tylko jakby pewnymi osobnymi prądami.

Od dawnych już czasów istnieje w *Chur* zakład naukowy, obecnie wyższa kantonalna szkoła: w *Reichenau* był jeszcze przed końcem XVIII wieku znakomity instytut dla młodzieży, zostający przez jakiś czas pod przewodnictwem gorliwego reformatora Zschokke'o (1). W dzisiejszych czasach potworzono inne zakłady i stowarzyszenia w celu naukowym; o szkółkach ludowych nie przepomniano także. Pisma perjodyczne, nowe drogi kommunikacyjne, ułatwiają szerzenie się wiadomości i pojęć, a tem samem powinnyby jednoczyć ludność wspólnością wyobrażeń. Jednakże tylko niemieckiego pochodzenia mieszkańcy łatwiéj przyjmują oświatę i naukę, i na nich widoczniejszy choć powolny postęp, romańscy i ladyńscy uporczywiéj trwają w zwyczajach i ciemnocie przodków, odrzucając wszelkie ulepszenie; wprawdzie nie wyżéj od nich stoi niemiecka ludność odległych dolin, wysokiemi zamkniętych górami.

Przy tem wszystkiem, w każdéj prawie okolicy znajdzie się jakaś rodzina, któréj przodkowie w służbach zagranicznych nabyli większéj zamożności i oświaty, i odtąd górowali nad całem ciemnem sąsiedztwem a następnie synów swoich do szkół i uniwersytetów w obce posyłali kraje. W takich domach znajdziesz polor światowy, książki i wszelkie cywilizowanych ludów wygody i przyjemności. Lecz zadowolnieni ze swojéj wyższości, nie troszczyli się nigdy o podniesienie otaczających współziomków, ciemnych, prostackich, niedbałych o żadne wygody ani ochędóstwo nawet, żyjących w stanie na wpół dzikim prawie. I dzisiaj także wielu młodych ludzi rzuca pasterskie i rolnicze życie, szukając w innych krajach hojniejszego zarobku. W tych latach niektórych dolin młodzież gromadami do Ameryki wywędrowała. Opowiadania wracających rodaków nakłania ich do opuszczenia ziemi, która pracy ludzkiéj nie odpłaca tak sowicie jak żyzne równiny Nowego świata. Większa część tych wędrowców powraca późniéj do rodzinnych zagród, przynosząc nabyty dostatek i sztukę zużytkowania go na uprzyjemnienie sobie życia, i stanowi znów odrębność rażącą w ogólnym obyczaju większości.

Jednem z miejsc najciekawszych do zbadania pod tym względem, a zarazem jednę z najpiękniejszych dolin w świecie jest *Górna Engaddin*. Przy wstępie do niéj rzeka *Inu* bierze swój początek i przerzynając ją w całéj jéj długości czystym i cichym strumieniem, wraz z nią w kierunku północno-wschodnim, aż do granicy Tyrolu bieży. Położona na wysokości około 6,000 stóp nad poziomem morza, dolina ta która w innem miejscu byłaby sama ogromną górą, otoczona nie wiele nad nią wyżéj usadowionemi *gleczerami* i czarnemi świerkowemi borami, ma najzupełniejszy północy klimat. Ostra długa zima, lato upalne, bardzo krótkie, bez przejścia po mrozach następujące. Kilka pięknych jezior połączonych przepływającą przez nie rzeką, wdzięcznie w swem gładkiem zwierciadle odbijają zieloność i liczne w około wioski, lecz przez większą część roku lodem pokryte, służą za ślizką drogę dla sanek. Mimo to jest ta dolina jedną z najludniejszych, a zbudowana pięknie i oryginalnie jak żadna. Położenie jéj i klimat mało sprzyjają rolnictwu, mieszkańcy zatem tameczni bardzo ograniczone mają utrzymania środki; lecz większa część ich, jak pszczoły za miodem, od domostw swoich w dalekie odlatują strony, i zbogaciwszy w innych krajach rozmaitego rodzaju przemysłem, wrodzoną synom gór tęsknotą sprowadzani na powrót do swych podobłocznych siedzib, na ojczystym gruncie. w sąsiedztwie biednych góralskich chatek, budują pałacyki, wille, zakładają ogrody. Mimo ostrości klimatu nie dopuszczającego wielkiego roślinności rozwoju, gdy natura nie wydaje innych jak szpilkowe lasy, przy starannéj jednak troskliwości udają się nawet drzewa owocowe, a gorące, choć krótkie lato daje kwiatom pełność i blask podzwrotnikowych, nawet kwiat koniczyny tutaj wielkością i barwą róży podobny. Uzupełniają ten obraz tu i owdzie malownicze szczątki starożytnego zamczyska. Łatwo sobie wyobrazić jak czarującym i dziwnym jest podobny widok, zwłaszcza że niespodziewany na téj wysokości i wśród okolicznéj dziczy. Widok ten nacechowany piętnem zupełnie odrębnem, charakterem wyłącznie téj okolicy właściwym, i co się tycze przyrody, w ogólności surowym, lecz dziwnego uroku i wspaniałości. Nic nie wyrównywa przepychowi z jakim się tutaj przedstawia wschód i zachód słońca. To też ta niepowszednia piękność doliny Engaddin tak nęci każdego co ją raz oglądał, że mnóstwo możnych cudzoziemców, po części z sąsiednich Niemiec, a głównie książęta i hrabiowie z Lombardji i innych włoskich krajów, przybywają tam dla przepędzenia krótkiego bo dwumiesięcznego lata. Miejscowi tameczni mieszkańcy wielce niechętnem okiem na tych gości spoglądają, a nawet bogaci właściciele, z których nie jedni posiadają we Włoszech swoje domy handlowe, od tych przybyszów trzymają się z daleka, bo w ich mniemaniu ta piękna dolina, dla nich najroskoszniejsza ze wszystkich na świecie, jest ich wyłączną własnością, ku ich użytkowi jedynie stworzona, i niepodoba im się by cudzy wdzierali się w ich do niéj prawa. Ale u tych w obczyznie zbogaconych Sybarytów usłyszy się mowy wszelkich narodów, dojrzy się oświatę miast wielkich, obyczaje i ogładę. Lecz reszta za to, ptastwo niewędrowne co gniazd swych nie opuszcza nigdy, pozostaje w dawnych nawyknieniach i ciemnocie. Jak jego ojcowie lud ubogi zbiera siano, wychowuje bydło i w części rolę uprawia; chaty nędzne i brudne, nieporządna i niechlujna odzież, wykazują iż poczucie piękna wcale mu się nie udzieliło od wykwintnych współrodaków; językiem mówi ladyńskim jakiego nigdzie więcéj w świecie nie usłyszeć całym.

(d. c. n.)

(1) W Reichenau Ludwik Filip książe de Chartres w czasie swego wygnania był nauczycielem języka francuzkiego i matematyki pod nazwiskiem p. Chabos. Pokój w którym przemieszkiwał ozdobiony jest dwoma portretami przysłanemi przez niego samego w darze panu Planta, obecnemu właścicielowi posiadłości Reichenau: jeden z tych wizerunków przedstawia p. Chabos, a drugi króla Francuzów.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Po skończonym mazurze muzyka milczała kilka minut, a po domu rozlewał się tylko to stłumiony, to głośniéj wybuchający szmer rozmawiających głosów. Szmer ten dochodził do uszu Bolesława niby szum kilku wodospadów, to łagodnie spływających na miękką murawę, to z hukiem rozbijających się o skały. Strojenie instrumentów przeszywało ten odgłos ostremi dźwiękami, jakby żałośliwie odzywającym się niekiedy jękiem śród wesela.

Nagle po całym domu rozbrzmiał wpół wesoły, wpół tęskny, szybki, szalony walc. Dźwięk klarynetu panował nad innemi instrumentami, donośny a smętny, przeciągał tęskne nuty i zdawał się śpiewać o miłości, jéj roskoszach — szałach jéj i cierpieniach.

Dziwnie to namiętny taniec ten walc! Trudno pojąć jak zimna Germanja mogła być ojczyzną jego. Wsłuchaj się dobrze w jego tony, a usłyszysz w nich całą historję ziemskich, ale tylko ziemskich rozkoszy. Innego śpiewu w nim nie szukaj. Walc to przeciwstawienie mazura. W ostatnim tkwi uczucie hulaszcze, szerokie ale tak otwarte, jak pól rozłogi... tak naiwne jak serce dziewicze, tak tęskne jak dusza śniąca wciąż o utraconym raju... W walcu szaleje bezpamiętny, ale ciasny popęd zmysłów, namiętność cielesna z dziką swoją harmonją; w mazurze młoda para z podniesionemi czołami dłoń w dłoni lecąca powietrznym krokiem zda się tuż, tuż uleci z nad ziemi w niebiosy: — w walcu dwoje ludzi spojeni ścisłem objęciem, z głowami pochylonemi ku sobie, kręcący się w szalonym wirze zda się że za mgnienię oka zmęczeni upadną na ziemię... w pył ziemski... Mazur idealizuje kobietę czyniąc z niéj napowietrznego anioła, muskającego ludzi w przelocie przezroczą szatą, niby miękkim skrzydłem rozpościerającego ramiona, niby anielskie skrzydła do lotu. Walc uziemszcza najczystszą, przerzuca ją z objęć w objęcia ludzi różnych, nieznanych, rzuca w jéj pierś tony namiętne, jak ziarna burz które z nich zrodzić się mają.

Bolesław przechadzając się po osamotnionéj sali jadalnéj, słuchał dochodzących doń rozgłośnie taktów walcowych.

Jakkolwiek wysilał się na spokój i wzywał na pomoc trzeźwą rozwagę, przykre, dotkliwe wrażenie ogarniało go coraz bardziéj. Stanął i rzekł do siebie.

— Co to jest? czuję że tracę samego siebie i niewiem co się ze mną dzieje! Jakieś przeczucia stukają do serca, jakieś mary plączą się po głowie, jakbym legł w gorączce. To źle — poddawać się stanowi takiemu nie należy, ucieknę z tego gwaru a odzyskam wnet spokój!

W kwandrans potem bryczka odjeżdżającego Bolesława turkotała na Adampolskim dziedzińcu, a w téj saméj chwili Wincunia wsparta na ramieniu Aleksandra, rozmarzona obiegała z nim salę w szybkim walcu. Młodzieniec drżącem ramieniem silnie obejmował jej kibić i z upojeniem w twarz jéj patrzył, ona spuściła zrumienione czoło a w koło nich szeptano:

— Piękna para! dobrana para! jakby dla siebie stworzeni!

W istocie było to połączenie młodości z młodością, wesela z weselem, marzenia z marzeniem. A śród tańca na sali balowéj łącznia taka zawsze czarowną zachwycającą bywa. Czy w życiu codziennem, rzeczywistem, poważnem a nieraz smutnem i twardem, ta młodość, to wesele i to marzenie starczy za wszystko inne i zastąpi to czego mimo nich w głowach i sercach ludzkich niestaje? Na pytanie to odpowiadają istnienia, w których młodość zbyt prędk-

ko mija, wesele w łzach tonie, a marzenia ulatują bez śladu, zostawiając za sobą twardą, nieubłaganą rzeczywistość. Niestety, arena śród której roztacza się życie człowieka, to nie sala balowa, — nie ten w niéj odniesie zwycięztwo, kto najzgrabniéj tańczy, ale ten kto najmężniejszy zdoła pochwycić za barki potwory przeciwności, które mu w oczy zajrzą, drogi życia to nie woskowane do tańca posadzki, nie ten po nich zajdzie najdaléj, kto z wdziękiem stąpać umie; ale ten czyj krok śmiały i kto wie gdzie dąży. Lecz któż o tem wszystkiem myśli śród wiru walca?

Ani Aleksander ani Wincunia nie myśleli o tem, byli młodzi, weseli, rozmarzeni i po walcu usiedli obok siebie upojeni tańcem i sobą.

Aleksander spojrzał w twarz dziewczyny i rzekł z cicha:

— O, jakże byłbym szczęśliwy gdyby mi wolno było mówić do pani zawsze jak pan Topolski mówił żegnając panią przed chwilą: do jutra!

Wincunia machinalnie poniosła rękę do silnie bijącego serca, ale wysiliła się na żart i uśmiech.

— Cóż panu przeszkadza, rzekła żartobliwie, przyjechać jutro do Niemenki. W takim razie mógłbyś pan dziś powiedzieć do jutra!

— Pani żartujesz! stłumionym głosem wyrzekł Aleksander i dodał po chwili milczenia, mój Boże, a ja panią kocham....

Wincunia siliła się pokryć wzruszenie które nią całą wstrząsało. Aleksander mówił daléj.

— Nie powinienem zapewne mówić pani o tem, bo wiem żeś już zaręczona.... ale milczeć jest nad moje siły. Wyjadę ztąd... ucieknę.... zostanę żołnierzem i będę szukał śmierci na pierwszéj wojnie... ale chcę abyś pani wiedziała.....

— Nie jedź pan, ja nie chcę tego, jabym tego nie przeżyła! zawołała Wincunia prawie nieprzytomnie i łza zawisła na jéj rzęsach. Aleksander zadrżał widocznie z radości i twarz jego zapałała.

— A więc.... rzekł i nie dokończył, muzyka zdwoiła zapał w téj chwili, brzmiała, szalała, huczała głębokiemi tonami basetli a dźwięki klarynetu tęskno a namiętnie unosiły się w powietrzu. Aleksander zerwał się z krzesła i rzekł do Wincuni.

— Tańczmy!

— Prędzéj! jak najprędzéj! krzyknął na muzykę a walc tak szybko rozszalał, że wszystkie pary nie mogące wydołać przyśpieszonemu tempu, rozprzęgły się i ustąpiły a śród nich wypłynęła jedna tylko i okoliła salę z takim pędem i taką lekkością, że zdawała się być unoszona jakąś czarodziejską mocą.

Czarem tym i tą mocą która ją unosiła było namiętne upojenie.

— Jak oni mogą tak prędko tańczyć? z podziwieniem wołano z kilku stron.

— Prześlicznie tańczą!

— Oto para jakby para!

Pani Karlicz lornetowała tańczących a na twarzy jéj malował się wyraz kapryśnego niezadowolenia.

Wincunia i Aleksander usiedli znowu obok siebie odurzeni zawrotem głowy. Młodzieniec pochylił się nad dziewczyną i szeptał jéj prawie do ucha.

— Panno Wincento, jam wieśniak i nie poeta, długo i pięknie mówić nie umiem, powiem ci tylko jedno słowo: bez ciebie żyć mi nie sposób, albo będziesz moją albo umrę...

W głosie jego dźwięczała prawda, był upojony, rozkochany, wierzył w to co mówił.

— Czy pani sądzisz że jestem rzeczywiście taki wesoły jakim się być zdaję? Nie pani, byłem takim niedawno jeszcze, to prawda ale od czasu gdy cię pokochałem ciągła mię dręczy tęsknota za tobą.

Jedyną pociechą moją bywa myśl, że cię mogę widywać choć rzadko, ale gdy.., gdy zostaniesz pani żoną innego — wtedy... pocóż mi będzie życie? Nie zadam sobie zapewne śmierci z własnéj ręki, bo żal mi rodziców, ale powiedziałem już pani... zostanę żołnierzem i zginę na pierwszéj wojnie....

Na twarzy Wincuni była gra najrozmaitszych uczuć: szczęścia i boleści, zachwycenia i trwogi, dziewiczego wstydu i namiętnego rozmarzenia.

— Boże mój! szepnęła pochylając głowę aby ukryć dwie łzy, które jéj drgały na rzęsach, Boże mój! cóż mam uczynić?

Schylony nad nią Aleksander posłyszał szept ten i rzekł z zapałem pełnym gorącéj prośby.

— Powiedz pani jedno słowo, to jedno czarowne słowo, które uniesie mię w niebo szczęścia i zachwytu, powiedz mi pani: będę twoją!

Wincunia zadrżała, spojrzała na młodzieńca którego oczy ćmiły się łzą błagania i wzniosła spojrzenie w górę jakby szukała tam swego anioła stróża i błagała go o natchnienie. Po chwili spuściła głowę i rzekła cichutko.

— Panie! ja mam narzeczonego!

— Narzeczonego! zawołał Aleksander z goryczą. Cóż ztąd? dla czegoż ten właśnie człowiek ma być szczęśliwym? Albož on więcéj kocha panią odemnie? O, nie, przysięgam pani że to niepodobna! On, taki zimny, poważny, cały zatopiony w prozie życia...

Wincunia energicznie podniosła głowę.

— O, alem ja jemu tyle winna! on taki zacny, szlachetny, taki dobry!

Mówiła to z uczuciem i oczy jéj znowu zaszły łzami.

— Cóżem ja winien że nie znam panią od tak dawna jak on? z żalem rzekł Aleksander. Cóżem winien że nie mogłem dotąd złożyć u stóp twych pani dowodów mojéj miłości? Nie przeczę bynajmniéj że pan Topolski jest bardzo zacnym człowiekiem, ale cóż za zasługa z jego strony że poświęcał się dla takiego jak pani anioła? Poświęcenie! to śmieszne doprawdy że ludzie nazywają poświęceniem, to co jest najwyższem szczęściem! Ja pani jestem bardzo młody, świat i życie uśmiechają się do mnie, a jednak składam u stóp twych całą przyszłość moją i nie ma ofiary któréj bym dla ciebie nie poniósł. Dla czegóż ktoś inny ma być szczęśliwym a ja ofiarą? Jestże to sprawiedliwym? Jestże to słusznem? Nie, pani, znać serce twe odtrąca mię i zostaje mi tylko umrzeć.....

Gdy mówił ostatnie słowa spostrzegł że na drugim końcu sali pani Karlicz powstała ze swemi towarzyszkami i gotowała się do odjazdu.

— Muszę panią opuścić aby pożegnać i przeprowadzić do powozu panią Karlicz, która znać chce odjeżdżać rzekł Aleksander do Wincuni; ciężkie są nieraz obowiązki gospodarza domu — nawet tylko syna gospodarza, dodał z uśmiechem i powstawszy patrzył na Wincunię jakby żal mu było na krótki moment choćby z nią się rozstawać. Nagle myśl jakaś błysnęła mu w oczach, wyciągnął rękę i zerwał białą różę kwitnącą w wazonie nad samą prawie głową Wincuni. Podał kwiat zmięszanéj i wzruszonéj uprzednią z nim rozmową dziewczynie i rzekł.

— Weź pani tę różę i zawieź ją do Niemenki, jutro powie mi ona za panią tak albo nie...

Milczał przez chwilę potem pochylił się niżéj i dokończył cichym gorącym szeptem.

— Jutro przyjadę do Niemenki; jeśli zobaczę tę różę we włosach pani — znaczyć to będzie że mówisz mi pani: tak! a jeśli serce twoje powie: nie rzuć biedny kwiat pod swoje stopy a gdy zwiędnie zdeptany przez ciebie, będziesz w nim miała mój obraz...

Rzekłszy to odszedł a Wincunia przypięła różę do piersi.

Pani Karlicz naciągając białą rękawiczkę i owijając się w koronkowe *entrée au bal* mówiła do swéj kompanijonki.

— Il parait que le jeune homme est amoureux fou de cette petite fille.

— Est-ce que ça vous dérange? spytała kompanijonka rzucając skrycie złośliwe spojrzenie na swą pryncypałkę.

— Quelle idée! zawołała czarnooka pani i zaśmiała się kapryśnym nerwowym śmiechem.

— Pani chce już odjeżdżać! ozwał się za nią głos Aleksandra w który chciał on wlać ton wyrzutu. Ale nie udało mu się to: — głos jego był zimny i ton ściśle tylko grzeczny.

— Mam migrenę i odjeżdżam odparła pani Karlicz, nie patrząc na niego i odeszła. Aleksander poszedł za nią ale w milczeniu, ze schyloną głową myślą widocznie będąc gdzie indziéj.

Wincunia posmutniała i dziwnie się zamyśliła, blada i zadumana usiadła przy ciotce a zapraszającym ją do tańca odpowiadała że zmęczona jest bardzo, głowa ją boli i tańczyć więcéj nie może. Co chwilę wzrok jéj spuszczał się na białą różę przypiętą u piersi i walka sprzecznych uczuć i myśli widoczną była na jéj twarzy.

Zresztą zabawa szła bardzo ochoczo i wesoło. Sam nawet. p. Jerzy który tak rozpaczliwie opierał się był myśli wydania balu i tak gorzko żałował straconych nań pieniędzy i czasu, gdy zobaczył że całe sąsiedztwo ochotnie i przyjacielsko zjechało się do jego domu, uczuł się wysoko zaszczyconym i poczczonym, wpadł w wyborny humor a frasunek zniknął całkiem z jego oczów. Kiedy dziarski mazur zawrzał był na sali, we wszystkich pokojach zrobiło się huczno, ludno i wesoło stary dzierżawca chodził od gościa, do gościa całował, ściskał, poił, częstował, przysiadał się do kobiet i nawet pani Karlicz, któréj serdecznie nielubił powiedział w rozochoceniu parę komplementów.

A gdy jeszcze przy końcu wieczerzy wszyscy mężczyzni powstali z miejsc z kielichami szampana w rękach, hurmem ostąpili jego ukochaną Anulkę i zawołali: „zdrowie solenizantki!“ p. Jerzy przypomniał sobie dzień swego wesela i ze łzami rozrzewnienia i radości w oczach wyściskał z kolei wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety pocałował w rękę.

Gdy wstawano od wieczerzy wszystkie usta śmiały się, we wszystkich głowach szumiał szampan i węgrzyn, z sali tańca doszedł odgłos hucznych Mazurowych taktów. Pan Jerzy podniósł głowę, jedną rękę oparł na boku i zawołał.

— No panowie! teraz my starzy do Mazura! Posunął ku Wincuni i z poczciwym uśmiechem wyciągnął ku niéj otwartą i ogorzałą rękę. Na tę oznakę widocznéj życzliwości i pierwszeństwa jaką oddawał jéj ojciec Aleksandra, dziewczyna rozjaśniła uśmiechem posmutniałe lice, położyła drobną rękę na grubéj dłoni dzierżawcy i p. Jerzy tupiąc, podskakując i zdobywając się na ciężkie hołupce wpadł z nią do sali tańca. Za niemi ruszyło się parami wszystko co żyło. Dzierżawcy, właściciele, komissarze, urzędnicy, żony, ich siostry, córki i synowie, wszystko to razem puściło się w tany. Zrobił się gwar, tłok, huk nie do opisania. Podpojeni w czasie wieczerzy, muzykanci rżnęli z całéj mocy po strunach, basetla w zdwojonéj gorliwości huczała gdzie potrzeba i gdzie nie potrzeba, klarynet tak pięknie popisujący się dotąd zaczął zlekka fałszować, ale nic sobie z tego nie robiąc krzyczał co siły stało, chłopiec kredensowy porwał wielki kocioł blaszany i stanąwszy za muzyką począł z całéj mocy uderzać po nim w takt pałką. Z janczarskiemi odgłosami zaimprowizowanego bębna mięszało się tupanie nóg, śmiechy starych głosów, chichot niewiast, hołupce i ochocze wykrzyki młodzieży. Starzy w pląsach prowadzili młodziuchne dziewczęta, młodzieńcy wiedli matrony w czepcach ze zwiędłemi ale w téj chwili rozpromienionemi twarzami.

— Hulaj dusza! serdeczny taniec objął wszystkich bez wyjątku swojem hulaczo-tęsknem tchnieniem i nie było już tam ani starości ani troski, ani serc zmęczonych, ani serc złamanych było tylko wesele porywające, pełne śmiechu i łez rozrzewnienia.

Pomiędzy tłumem hulaszczym przecisnęli się lokaje niosąc po tanach kielichy z węgrzynem. Pan Jerzy podniósł kielich do góry i krzyknął.

— Panowie, kochajmy się!

Wszyscy rzucili się ku sobie, dźwięknęły kielichy, zabrzmiały pocałunki, wszystkie ramiona otwierały się, wszystkie twarze zbliżone do siebie pół śmiały się, pół płakały, lica dziewic kwitły rumieńcami jak róże pąsowe, a młodzieńcy zbliżali się do swych bohdanek i szeptali im do ucha ciche, gorące:

— Kochajmy się!

Aleksander podszedł do Wincuni i uderzając kieliszkiem o jéj kieliszek rzekł z głębokim wyrazem.

— Pamiętaj pani o mojéj biednéj róży!

Słońce wschodziło a w Adampolskim domu tańczono jeszcze przy zamkniętych okiennicach.

X.

ROZMYŚLANIA WINCUNI.

Nazajutrz po Adampolskiéj zabawie światło poranku tak dobroczynnie wpływające na ludzi, którzy głęboko zżyli się z naturą, uspokoiło wzburzony nocnemi wrażeniami umysł Bolesława. Łajał on siebie nawet wewnętrznie za wczorajsze swe niepokoje, a piękny świat boży uśmiechnął się dość po dawnemu wołając do pracy, miłości i nadziei. Bledszy trochę niż zwykle i ze śladami moralnego zmęczenia na twarzy, ale spokojny a nawet wesoły, pojechał do Niemenki. W drodze mówił do siebie.

— Nocne to były mary! i widziadła wyobraźni.

Odurzył mię ten gwar do któregom nie przywykł, rozdrażniło ujrzenie Wincuni w innéj postaci niż ją dotąd widywać zwykłem. Nadszedł dzień i wszystko jest po dawnemu!

Znalazł panią Niemeńską już przy gospodarstwie i dowiedział się od niéj, że Wincunia bawiła się wybornie, wróciła zdrowa i teraz śpi jeszcze spokojnie.

Niechże sobie śni jak najdłużéj, rzekł Bolesław, potrzebne to po zmęczeniu. Powiedz jéj pani gdy się obudzi że byłem tu, przesełam jéj dzień dobry i bardzo rad jestem że się dobrze bawiła. Odjeżdżam natychmiast i dziś nie będę już w Niemence bo wprost ztąd jadę do K. na jarmark. Słyszałem że przywieziono tam w tym roku nasiona Sandomierskiéj pszenicy, a chcę spróbować jak się też ona uda na naszéj glebie. Zresztą mam jeszcze inne gospodarskie potrzeby, a że drugiego jarmarku nie będzie już w naszych stronach w tym roku, nie odkładam więc i dziś jadę. Wrócę późno a panie po bezsennéj nocy pewnie wcześnie spać się położycie. Zobaczymy się aż jutro....

Rzekłszy to pocałował rękę pani Niemeńskiéj z synowską czułością, raz jeszcze poprosił ją aby oddała od niego „dzień dobry“ Wincuni gdy się obudzi i odjechał.

Odjechał — minął Niemenkowski dworek i obejrzał się — okno pokoju Wincuni różowiało między zielenią, oświetlone ukośnie padającym promieniem słońca, Bolesław patrzył na nie a niewyraźny jakiś głos przeczucia wołał mu w sercu: wróć! wróć!

Otworzył usta jakby do wydania rozkazu furmanowi ale powstrzymał się, uśmiechnął, wzruszył ramionami i rzekł do siebie.

— Prawdziwie zaczynam głowę tracić!

Minął gaj i znowu obejrzał się. Już nie widział dworku, tylko popielaty, ozłocony słońcem dym Niemenkowskich kominów wypływał po nad drzewa gaju, pochylany łagodnym wiatrem. „Wróć! wróć! strzeż swego skarbu!“ coraz głośniéj wołało przeczucie w sercu Bolesława i wydało mu się jakoby niebezpieczeństwo jakieś groziło jego narzeczonéj.

— Stój! zawołał Bolesław na furmana ale po chwili uśmiechnął się znowu i dodał:

— Jedź daléj, a prędzéj!

Bryczka potoczyła się, Bolesław odjechał, śmiał się ze siebie w duchu, ze swych obaw i przeczuć, zwał siebie marzycielem a jednak ciężar jakiś zaległ mu na piersi i był smutny.

W Niemence, — po spóźnionym dnia tego obiedzie cisza zupełna panowała we dworku, bo była to niedziela, — nie odbywały się żadne gospodarskie roboty. Pani Niemeńska odmawiała pacierze w ogrodzie.

Wincunia siedziała w swoim pokoiku przy otwartym oknie, wychodzącym na dziedziniec. Żadnéj żywéj istoty nie było wkoło domu, żaden listek nie ruszał się na drzewie; ludzie spoczywali po tygodniowéj pracy, natura ochłonąwszy z dziennego upału zaczynała drzemać w przedchwili nocnego snu. Za gęstwiną gaju słońce zstępowało za krwiste obłoki i kilka czerwonawych promieni ślizgało się po murawie podwórza.

Wincunia oparła skroń na dłoni i... nie myślała o niczem. Chaos, zamęt, wir, dziwne dziwy i marzenia plątały się po jéj głowie a rozwikłać ich nie mogła, w uszach jéj brzmiały oddalone akordy wczorajszéj muzyki, klarynet śpiewał tęsknego walca, przed oczami stawała wciąż twarz młodzieńca niby nimbusem otoczona złocistemi włosami, z oczami błękitnemi jak niebo w południe, a wpatrzonemi w nią tak ogniście... tak marząco. Wincunia przymknęła oczy aby téj twarzy nie widzieć, ale wdarła się ona pod jéj powieki, klarynet ozwał się tęskniéj, wyraźniéj posłyszała głuchy szmer balowy i uczuła na ręku swem dłoń młodzieńca porywającą ją w bezpamiętny, rozkoszny wir tańca.

Otworzyła oczy i westchnęła.

W téj chwili zdało się jéj że coś ją miękko muska po włosach. Spojrzała i zobaczyła jednego ze swych ulubionych gołębi, który bijąc skrzydłami usiadł na krawędzi okna tuż przy jéj ręku...

Ujęła ptaszka w obie dłonie, gładziła jego białe pióra i łzy puściły się z jéj oczów.

Pomyślała o tem jak była daleko już od owéj pory w któréj te słodkie, niewinne ptaki starczyły jéj za zabawę w wolnych chwilach, były celem jéj pieszczot i starań! Gdzież się podział spokój jéj serca? gdzie dziecięca pogoda i przezroczystość myśli? Dla czego teraz siedzi tęskna, rozmarzona, smutna a w piersi czuje boleśną burzę, a w głowie ma zawrót co chwilę tryskający łzami? Dla czego nie idzie na murawę dziedzińca karmić gołębie swoje, nucić piosenki wesołe i w ogrodzie przypatrywać się z rozkoszą jak pod wieczór otwierają się zmęczone dziennym skwarem kielichy kwiatów i piją krople brylantowéj rosy? Dla czego głowa jéj tęsknych i nieokreślonych dum pełna cięży i boli, dłonie pałają a w piersi tak boleśnie, tak pełno jakoś, że zda się serce wnet pęknie i popłynie zeń fala łez i płomieni? Cóż się z nią stało? Jaka moc dziwna splątała spokojny wątek jéj życia? Czy przeszłość była snem tylko? Co się z nią działo, co dzieje, co dziać się będzie w téj przyszłości która tak widną była niedawno a teraz oblokła się przed nią mgłą zagadek i tajemnic?

Wypuściła z rąk gołąbka, który wesoło frunął w powietrze a sama oparła znowu skroń na dłoni i myślała.

W myślach jéj stawało się coraz widniéj i wyraźniéj, splątane ich pasma rozwijały się stopniowo, aż z pośród nich wysnuła się i błysnęła promienna niteczka światłości. Wincunia na nić tę opuściła swego ducha a ona powiodła go w przeszłość.

Ujrzała siebie dzieckiem, biednym dzieckiem osieroconem po ojcu i matce, biegającem samopas po polach i łąkach bez innéj opieki jak dobréj wprawdzie ale staréj, stroskanéj, nieudolnéj kobiety. Stara strzecha ojcowskiego jéj domu otwierała się i potoki wód niebieskich wnikając przez nią oblewały walące się ściany, na podwórku cicho było i odludnie, ludzie nie pracowali na nim, bydełko nie ryczało; w ogrodzie usychały owocowe drzewa stercząc nagiemi gałęziami niby zbliżające się widma szaréj, nagiéj nędzy, pustka i ruina rozkładały się wkoło coraz szerzéj a co dzień rano i w wieczór stroskana ciotka mówiła do niéj: „dziecko, złóż ręce do pacierza i błagaj Boga aby cię od nędzy, która się zbliża uchronił.“ Pomiędzy tą ruiną i temi groźbami złéj przyszłości ukazała się postać Bolesława z uczciwie a po prostu wyciągniętą dłonią męzkiéj pomocy i opieki...

Tu pomknęła daléj nić wiodąca ducha Wincuni i przed oczami jéj inny stanął obraz.

Niemenka wesoła, ludna, zamożna, nowy domek błyszczy jasnemi oknami i złocistą strzechą, na dziedzińcu pracują ludzie ochotni, w oborze ryczy bydło, w stajni rżą dzielne koniki. W ogrodzie zielono, kwiecisto, owoce ciężarem swym pochylają gałęzie drzew, pola uprawne złocą się bujną pszenicą, bławatki kwitną w gęstym życie, żniwiarze żną i śpiewają a bocian wtóruje im klekotem stojąc na dachu napełnionéj stodoły. Pomiędzy tem wszystkiem, na koniu, z ogorzałą pogodną twarzą, z wesołem i uprzejmem słowem przesuwa się postać Bolesława, a co dzień rano i w wieczór ciotka mówi do sieroty któréj mienie uratowane „Wincuniu, złóż ręce do pacierza i módl się za niego, bo on mnie i ciebie ochronił od nędzy!“

Pomknęła znów daléj przewodnia nić ducha i Wincunia inny ujrzała obraz.

Oto długi jesienny wieczór, w pokoju pali się lampa i ogień na kominku płonie i huczy. W koło ścian szumi wicher, stuka okiennicami i wstrząsa krzewami gaju, deszcz rzęsistemi kroplami obija się o szyby okien. W pokoju cicho, ciotka z pończoszką w ręku siedzi u kominka, z drugiego końca domu dochodzą niekiedy rozmowy i chychoty dziewuch kądziel przędzących. Przy lampie siedzi taż sama spokojna prosta, serdeczna postać Bolesława i przemawia do niéj. Przemawia! ale jakim językiem? takim jakiego ona nie słyszała dotąd nigdy; językiem wiedzy i światłości, który Bóg rozlał po ziemi ku zachwyceniu serc wstępujących dopiero w życie, a ochłodzeniu i wsparciu tych co już zmęczone ciężką wędrówką.

Ona dotąd umiała tylko pacierz, znała zakątki gaju i kępiny łąki rodzinnéj, widziała tylko las czarniejący u skraju widokręgu i w dziecięcéj nieświadomości myślała że tym czarnym pasem kończą się światy wszelkie. Aż oto słowami Bolesława wywołane stanęły przed nią światy inne, dalsze, wielkie i myśl jéj uklękła przed niemi w zdumieniu. Objawił się jéj naprzód Twórca wszystkiego Bóg. Dotąd wyobrażała go sobie starcem siwobrodym, z gniewnem czołem i różczką karzącą niegrzeczne dzieci w prawicy: — lękała się go, objawiony słowami Bolesława ukazał się jéj duchem niepojętym i nieskończonym, napełniającym sobą przestrzenie, wszechmądrym, wszechmocnym, wszechtworzącym a dobrym, kochającym, litościwym jak najrzewniejsze miłosierdzie. Wpatrzyła się w takiego Boga, zamiast groźby ujrzała w Nim przebaczenie: zamiast różczki karzącéj berło sprawiedliwości: przestała się lękać a zaczęła kochać Boga, modlić się goręcéj i upatrywać go w każdéj gwiaździe na niebie i każdym kwiatku na ziemi. Po Bogu odkryły się przed nią różne kraje i narody świata, zobaczyła ich przeszłość, ujrzała świetny szereg wielkich mężów z sercami gorejącemi duchem ofiary, posłyszała wrzawy wojenne, jęki uciśnionych, wzdychania, wyzwolenia pragnących. Łzami z pod serca zrosiła te widzenia swoje, a gdy łzy z oczu otarła kochała ludzi. Potem znowu i zawsze przez usta Bolesława zabrzmiały w jéj uszach dźwięki cudnéj rodzinnéj poezji, brzmiące harmoniją drogiéj ojczystéj mowy. Myśli Mistrzów-Genjuszów porywały jéj ducha pod gwiazdy, słuchała ich zachwycona, a gdy już wiele słyszała kochała te ojczyste pola o których śpiewali poeci, to blade, rodzinne niebo pod którem oni pieśni swe snuli i milijony tych drogich, smutnych braci, których cierpienia brzmiały w ich czarodziejskich wyrazach.

Jeszcze raz pomknęła nić świetlana, a za nią pomknął duch Wincuni.

Zobaczyła siebie narzeczoną człowieka, który oddalił od niéj podwójną nędzę głodu i ciemnoty. Kiedy pierwszy raz powiedział jéj że kocha ją nie już jak ojciec lub brat, ale jak kochanek, serce jéj nie uderzyło wprawdzie przyśpieszonem tentnem, ale poczuła dziwną błogość, ufność, niezmierne przywiązanie do tego zacnego człowieka, który do niéj wyciągał ramiona, miała chwilę objawienia; ukazała się jéj przyszłość pogodna, spokojna, bez troski burz spędzona przy boku tego, który tak dzielnie bronić, tak troskliwie strzedz, tak gorąco kochać ją umiał. Powiedziała: tak! i była szczęśliwa spokojnem szczęściem przezroczystéj duszy, którą nic nie wstrząsa ale która ufna, świeża, pogodna śmieje się do bożego świata na którym jéj tak dobrze i tuli się do szerokiéj, zacnéj piersi czyjejś w któréj przeczuwa wielką dla siebie miłość i wielką cnotę. Lekka jak wietrzyk wiosenny, wesoła jak skowronek codziennie wybiegała przed dom z piosenką na ustach i witała narzeczonego serdecznem wyrzeczonem od dzieciństwa pozdrowieniem. Potem ręka w rękę szli razem przez pola, przez łąki przez gaj, nad głową jéj leciały i trzepotały skrzydłami gołąbki ulubione: ona szczebiotała radośnie jak wylatująca z gniazda ptaszyna, a on rozmawiał z nią tak rozumnie tak słodko a kochał ją tak bardzo... tak bardzo...

Tu stanęła niteczka wiodąca ducha Wincuni, a obraz spokoju i czystéj spokojnéj miłości migotał u jéj końca przezroczystym blaskiem kryształu. Wincunia uśmiechnęła się do niedawnéj swéj przeszłości — wyciągnęła ramiona i usta jéj cichutko wyszeptały imię Bolesława.

Ale nagle ognista błyskawica przeszyła mózg jéj i piersi, a przed oczami stanęła smukła postać młodzieńca: twarz jego okolona złocistemi kędziory, oczy zamglone marzeniem, to skrzące blaskami... Któż on? pytała siebie dziewczyna — kto on ten przybysz który zmącił pogodę moich dni, a w serce wlał mi trwogi, walki i pragnienia jakich pierwéj nie znałam?

Zamiast promiennéj nici, która dotąd wiodła ducha Wincuni po krainie rozmyślania, zjawiła się pod nią chmurka ciemna a na niéj w mglistych mętnych obrazach rysowała się historja znajomości jéj z Aleksandrem.

Widywała go ona oddawna, każdéj Niedzieli gdy przyjeżdżała modlić się do kościoła, ale wzrok jéj nie

zatrzymywał się nigdy na nim, zaledwie wiedziała jak wygląda i jak się nazywa; piękny młodzieniec był dla niéj obojętny jak każdy nieznany, mimochodem spotykany niekiedy człowiek. Aż dnia pewnego, było to o pierwszych brzaskach wiosennych, postępowała za Ciotką zmierzającą do furtki cmentarza myślą biegnąc już naprzód przed Ołtarze, u stóp których wnet modlić się miała, gdy nagle książka modlitwy z rąk jéj się wymknęła i upadła na zroszoną ziemię. Młodzieniec poskoczył, podjął ją i podał właścicielce. Biorąc książkę z rąk jego podniosła oczy i spotkała się z jego wzrokiem, po raz pierwszy ujrzała go zbliska i patrzyła na niego kilka sekund. Wypadek ten był zwyczajny, pospolity ale w jéj wnętrzu stało się coś niezwyczajnego, serce uderzyło śpieszniéj, ręka zadrżała, poczuła zmięszanie nieokreśloną trwogę jakąś — odeszła spiesznie ale choć się odwróciła długo czuła na sobie ścigający ją wzrok młodzieńca....

Dnia tegoż po raz pierwszy od czasu jak ją Bolesław nauczył znać i kochać Boga, źle się modliła, obca, nieznana i zaledwie dojrzana twarz młodzieńca stanęła między nią a ołtarzem, zasłoniła przed nią kapłana wznoszącego ręce do Nieba i uniosła się w dymie kościelnych kadzideł. Gdy opuszczała kościół spojrzeniem szukała już twarzy téj pragnąc i lekając się ją zobaczyć, i odtąd zawsze już, każdéj niedzieli szukała ją wzrokiem i każéj niedzieli źle się modliła. Spowiadała się Bogu z tego co za grzech miała, pytała siebie i nie umiała odpowiedzieć, zaczęła marzyć a marzenia jéj nie zrozumiałemi dla niéj saméj były. Czyliż kochała już wtedy nieznanego młodzieńca. O nie, nie była to miłość, był to niewyraźny, mglisty instynkt, — jedna z tych tajemniczych mocy wewnętrzych, które ogarniają człowieka nagle, a potem wyzywają do walki najszlachetniejsze władze jego ducha.

Młodzieniec przyjechał do jéj domu, — serce jéj napełniało się jakiemiś dziwnemi żalami i tęsknotami. Straciło spokój, przestawała być wesołą: w głębi sumienia poczuwała się do jakiejś ciężkiéj winy, — ale jaką by wina ta była — nie rozumiała. Walczyła z nieznanem widmem, które ją obejmowało nie chciała widzieć młodzieńca, nie wyszła aby powitać go gdy przyjechał, nie pojechała do kościoła, ale ujrzała go jednak w domu swym drugi raz i trzeci, nieznane uczucie wzmagało się w niéj, rosło, miewała chwilami wir, zawrót w głowie, przestała całkiem być wesołą, zbladła, unikała narzeczonego. Nareszcie przyszła owa noc tłumu, gwaru, tańca i dokonała reszty. W wirze walca ramię jego objęło jéj kibić oczy zatonęły w oczach, a słowa posiłkując się tonami muzyki, oblały ją tchnieniem marzenia i namiętności... i oto teraz...

Cóż teraz?

Kocham! odpowiedziało serce.

Na tę odpowiedź swego serca dziewczyna zadrżała i pełnemi trwogi oczami patrzyła przed siebie.

Kocham go? myślała — a tamten... tamten... dobry, serdeczny, tamten przyjaciel mego dzieciństwa który był mi ojcem, bratem, który pragnie być moim mężem? Czyliż dla niego w sercu mem niema miłości? Jestemże potworem, istotą niewdzięczną, nieczułą, bezmyślną?

Położyła na sercu rękę i pytała...

O, nie, dla niéj i tamten człowiek jest drogi i tamtego ona kocha, ale jakże inaczéj niżeli pięknego młodzieńca o smukłéj postaci i złocistych kędziorach! Przed jednym z tych ludzi gotowa uklęknąć ze czcią i wdzięcznością — w obec drugiego drży cała ze wzruszenia i rozkoszy!

Z jednym rozstać się trudno, żal, grzech: z drugim ach! niepodobna — boleść, rozpacz.....

Więc cóż uczyni? którego wybierze?

Dłonią cisnęła serce i pytała... pytała...

W téj chwili zamyśloną dziewczynę otoczyły dziwne postacie, które wyroiły się z głębin jéj ducha i poczęły staczać z sobą walkę straszną, zaciętą..... Walka ta rozdzierała jéj pierś niewypowiedzianym bólem i zalewała bladą twarz wyrazem cierpienia. Jedna z postaci tych okryta białą powiewną szatą lice miała łagodne i na miękkich złocistych włosach wieniec spleciony z oliwnych gałązek. Była to dobroć. Obok niéj i trzymając ją za rękę stało poważne sumienie, z obliczem surowem, ale promienistem, z ręką podniesioną ku niebu niby przypomnieniem Boga: „w koronie. Sędziego nad czołem“. Na powiewną szatę dobroci i spokojnem licem sumienia spływała łuna ognista: płynęła ona od postaci cudownéj piękności ubranéj w purpurę trzymającéj w ręku pęk różanego kwiecia, z wieńcem płomieni na kruczych rozwianych w nieładzie włosach. Tą trzecią postacią, była namiętność.

Nad temi trzema zjawiskami unosiły się jeszcze dwa chóry drobnych napowietrznych istot: były to roje wspomnień i marzeń. Wspomnienia krążyły nad głowami dobroci i sumienia, marzenia otaczały namiętności. Wspomnienia były blade owinięte mgłą. niewyraźne, marzenia śmiały się cichym ale rozkosznym śmiechem, śpiewały jak słowiki i skowronki, co chwilę kąpały się w ognistym wieńcu namiętności, a wylatując z płomieni każde z nich wynosiło z nich wonną różę albo gałązkę rozkwitłéj pomarańczy.

Najpierwsza dobroć głos zabrała:

— Młoda dziewczyno! wyrzekła, czyliż zechcesz zadać boleść człowiekowi, który dla ciebie tyle uczynił, który cię tak ukochał? Czyliż na to uczył cię on poznawać dobroć Boga, abyś sama własną dobroć wyrzuciła z serca?

— A tamten? krzyknęła namiętność, tamten taki młody, pełen życia i uczuć, czyliż mniéj cierpieć będzie jeśli go odrzucisz?

— Ale tamten obcym ci jest, znasz go zaledwie, a temu przyrzekłaś towarzyszyć do grobu i on na tem przyrzeczeniu oparł wszystkie nadzieje swego szlachetnego serca! ozwało się poważnie sumienie.

— Ty wiesz jak on cię kocha, słyszysz to w jego słowach, widzisz w czynach, szeptała dobroć, on będzie bardzo cierpiał gdy go odrzucisz!

— O tak! ja tego nie uczynię! zawołała Wincunia i odwróciła twarz od namiętności.

Ale namiętność wionęła ognistem wieńcem, a z płomieni wypłynęła przed oczy dziewczyny twarz Aleksandra.

— Patrz jaki on piękny! wołała namiętność, jak on na ciebie patrzy! Czyliż nie widzisz w tem spojrzeniu gorącego serca, poetycznéj, młodzieńczéj duszy? Jakiem marzeniem i jakim ogniem tchną jego słowa, — wzniosła i rozwinięta myśl dyktować je musi! A też złociste kędziory! dotknij ich, to jedwab! Posłuchaj! mówi że cię kocha, niebo w jego głosie.....:

Wincunia z zachwytem wpatrzyła się w twarz młodzieńca, w oczach jego dojrzała serce gorące, w słowach dosłyszała myśl wyniosłą i składając ręce jak do modlitwy drżącemi usty wyrzekła:

— Kocham!

Ale dobroć oliwną gałązką z wieńca wyjętą zamknęła usta dziewczyny.

— A tamtegoż nie kochasz? spytała, rozstaniesz że się z nim bez bólu i zostawiszże go tęskniącym za tobą przez całe życie może?

Na głos dobroci z za mglistych chmur jakiemi były owiane, wyroiły się wspomnienia — i otoczyły głowę Wincuni.

— Wspomnij! wspomnij! wołały, jaki on zawsze dla ciebie był dobry, jak cię uczył, bronił od złych ludzi, pracował dla ciebie a potem powtarzał ci tyle razy że jesteś jego szczęściem, słońcem, radością!

Tu z nad głowy namiętności ruszył się rój marzeń i szalonym pędem uderzył we wspomnień chóry.

— Rzuć okiem w przyszłość, śpiewały słowicze głosy, pomyśl jak ci błogo, radośnie będzie przy boku młodzieńca, dla którego tak żywo uderzyło twe serce! W niego to wcieliła się dobroć prawdziwa i gorąca miłość, ale w połączeniu z pięknością i młodzieńczem weselem! Tamten taki poważny powiedzie cię drogą spokojną wprawdzie — ale jednostajną — bez blasku ni tęcz — ten po tęczowym moście wprowadzi cię w krainę promieni, gdzie życie upłynie tobie szybko a rozkosznie, jak ta noc balowa....

— Wspomnij! wspomnij! przerwały wspomnienia, alboż źle ci z nim było kiedy? alboż doświadczyłaś z nim choć jednéj chwili znudzenia lub żalu za czem innem niż to coś u jego znajdowała boku? Wspomnij te chwile w których razem wpatrując się w gwiaździsty strop nieba, tonęliście w rozkosznem wielbieniu piękności natury, a on wzrok twój wiódł od gwiazdy do gwiazdy, ucząc cię ich imion jak mian sióstr twych rodzonych? Wspomnij te długie godziny w których przez usta jego dochodziły do twego serca i wnikały w nie czarowne dźwięki ojczystéj poezji i te inne w których rozkładał on przed tobą karty dziejów rodzinnych, aby nauczona przez niego wielbić bohaterstwo i odczuwać boleści braci, klękałaś duchem przed wielką przeszłością i modliłaś Bogu, aby przyszłość podobną jéj była! Czy te wysokie uciechy jakich doświadczałaś wtedy z nim i przez niego, mogą porównać się z temi jakie ci sprawił tamten śród téj nocy tańca i płochéj zabawy? Spojrz wkoło siebie i wspomnij kto stworzył dla ciebie ten śliczny cichy światek, w którym dotąd jak ptaszyna w swem gniazdku żyłaś śpiewem, słońcem i poezją? Kto zbudował ten miły cichy domek? on: kto ozdobił bluszczem i różami ściany twego pokoju? on także, bo wiedział że kochasz kwiaty. Kto zawiesił nad twem dziewiczem łóżeczkiem promienne oblicze Matki Boga? — on, bo pragnął aby ona cię strzegła i aby z ust twoich rano i wieczór płynęła do niéj czysta i podnosząca modlitwa. Spojrz na te pola nad któremi teraz zachodzi słońce pogodne. on je żyznemi uczynił: spojrz w swoją duszę, on ją wywiódł z krain ciemności...

— O tak! to prawda! szepnęła Wincunia i dwie łzy rozrzewnienia spłynęły z i éj oczów.

Ale namiętność spuściła znowu przed wzrok jéj skąpaną w płomienistym wieńcu twarz młodzieńca i zawołała.

— Patrz!

d. c. n.

Z HEJNEGO.

ŻYCZENIE.

Złota dzieweczko!
Niech ci codziennie,
Jasne słoneczko,
Świta promiennie,
A gdy odleci,
Słonko za chmury —
Niechaj ci świeci,
Wyższa myśl z góry.

I niech z piosenką,
Ptaszki przylecą,
Pod twe okienko,
I gniazdka sklecą,
A gdy powrócą,
Za morza, góry —
Niechaj ci nucą,
Anielskie chóry.

I kwiat rozliczny,
Z świeżości wdziękiem —
Niech kwitnie śliczny,
Przed twym okienkiem,
A gdy go chłody
Zwarzą jesieni,
Niech cię przyrody
Duch opromieni.

Złota dzieweczko!
W słońca światłości,
Z ptasząt piosenką,
W kwiatów wonności,
Wśród natchnień, cudu
Wyższego świata,
Bez trosk i trudu
Przeżyj swe lata.

J. Prusinowski.

KORESPONDENCJA Z MADRYTU.

przez Gor....

(Dokończenie.)

Najgłówniejszem źródłem bogactwa w Hiszpanji jest rolnictwo, zwłaszcza że ziemia jest niezmiernie żyzną, zdatną do uprawy roślin niemal całego świata. Że jednak kraj jest górzysty i rzadko deszczami nawiedzany, koniecznem jest sztuczne nawodnianie, należące już do wyższéj kultury rolniczéj. Gdzie więc jeszcze przez Maurów zaprowadzone kanały utrzymane są w stanie dobrym lub gdzie nowe urządzono, tam rolnictwo kwitnie i obfite przynosi plony: gdzie zaś kanały puszczono w zaniedbanie, tam gospodarstwo pozostaje w bardzo niskim stanie. Uprawiają tu oprócz zwykłego zboża, rośliny sodowe, ryż, kukurydze, pomarańcze, figi, banany,

len, konopie, szafran, drzewo migdałowe, oliwkowe, daktyle i kasztany.

Uprawa wina przynosi także niemałe korzyści, liczą go 119 odmian; oprócz wina wyrabiają wódki, ocet i te przeznaczają na wywóz zagraniczny razem z winogronami i rodzenkami.

Lasy znajdują się w bardzo lichym stanie, zwrócono na nie dopiero wtenczas baczność, gdy niknąć zaczęły. Pozbawione zupełnéj opieki, cięto je w pień bez najmniejszego porządku: w naszych dopiero czasach zostały wzięte pod ściślejszy nadzór i pod Madrytem w r: 1846 założono pierwszą akademję leśniczą.

Ważnem także bogactwem Hiszpanji są kopalnie, od czasów utraty osad amerykańskich troskliwiéj dozorowane i użytkowane. Ogółem kopalni liczy się tu przeszło sześćset, zaprzątających pracą do 30,000 ludzi. Najwięcéj jest wydających srebro, najmniéj dostarczających złoto i arszenik: pierwszych znajduje się blisko dwieście, drugich tylko dziesięć. Oprócz tego są liczne kopalnie miedzi, ołowiu, żelaza, węgla kamiennego, żywego srebra, a nawet w kilku wydobywają drogie kamienie jak ametyst, hyacynt, topaz, szmaragdy i. t. d.

Główne siedlisko przemysłu fabrycznego mieści się w Katalonji i prowincjach biskajskich. Sukna hiszpańskie niegorsze są od francuzkich, to samo jedwabne materje: fabryk papieru jest aż 300, pomiędzy któremi przed innemi przoduje Tolosa.

Mimo tego naturalnego bogactwa i rozwoju dość pomyślnego przemysłu, szczególniéj w Barcelonie, wywóz produktów za granicę zawsze jest mniejszy od przywozu, i zaledwie dwie trzecie wartości jego wewnętrznéj dochodzi.

Hiszpanja zdawien dawna była znaną ze swéj nietolerancji religijnéj, która obok panującéj wiary nie dozwalała żadnéj innéj publicznie wyznawać. Naród skłonny do poetycznych marzeń, oblekając życie klasztorne w fantastyczną szatę zachwytu, szczególne od dawna okazywał poszanowanie dla zakonów.

Z tąd to wynikły bogate zapisy dla duchowieństwa, i niezwykłe powstanie coraz nowszych klasztorów, tak dalece, że pomimo wypędzenia Jezuitów w r. 1767 i zabrania ich majątków, w lat dwadzieścia późniéj w r. 1786 liczono jeszcze zakonników i plebanów wiejskich w całéj Hiszpanji 180,000 czyli że na 17 dorosłych mężczyzn, jeden z nich żył z religji jak w ówczas mówiono. Jak zaś bogate było ich uposażenie, dość powiedzieć, że gdy w r. 1820 zaczęto myśleć nad organizacją duchowieństwa, przekonano się, że klasztory posiadają trzecią część ziemi składającéj Hiszpanję; że dochód jego wynosi 500, 000,000 złotych, gdy dochód całego państwa zaledwie na dwieście miljonów obliczano: i że wreszcie znajduje się przeszło 70 tysięcy duchownych nadkompletnych, zupełnie niepotrzebnych. W owym to czasie jeszcze liczono klasztorów przeszło 3,000, sam arcybiskup z Toledo miał 500,000 dukatów rocznego uposażenia, w tym stosunku szli inni arcybiskupi i biskupi, a każda posada choćby plebana wiejskiego była złotem jabłkiem, do którego setki rąk wyciągano.

Ponieważ armja, administracja krajowa, grandowie, hidalgowie, duchowieństwo, stanowią jednę siódmą część całéj ludności, tyleż zajmuje stan miejski, a pięć siódmych przypada na lud wiejski, robotników fabrycznych i służbę okrętową, można więc łatwo pojąć jakim stan ten rzeczy był ciężarem dla całego kraju, liczącego w ówczas 10½ miljona ludności. Od dawna też starano się o reformę; od czasu do czasu zaprowadzano ją, ale stan ten za nadto był związany z ówczasowym porządkiem, za wielką był podporą osób przywiązanych do niego, aby wszelka reforma choćby najmniejsza była trwałą.

I tak w r. 1767 minister Karola III wypędził Jezuitów z całéj Hiszpanji, majątki ich skonfiskował i ogłosił prawo pozbawiające hidalgów szlachectwa, jeżeli nie udowodnią iż utrzymują sie z pracy rąk własnych. Mimo to w lat niespełna dwadzieścia Jezuici wrócili, a hidalgowie przestali nawet oszukiwać władzę podszywaniem się pod zajęcia o jakich im się nawet nie śniło. W roku 1809 znowu zniesiono zakony, Ferdynand VII przywrócił je jednak, jak tylko po ukończeniu wszelkich wojen Napoleońskich, powrócił na tron z którego ustąpić był zmuszony.

Wroku 1836, w trzy lata po śmierci Ferdynanda, za rejencji Krystyny, jako opiekunki trzech-letniéj Izabeli, rząd zmuszony prowadzić uporczywą walkę z Don-Karlosem bratem zmarłego monarchy, domagającym się tronu według prawa rzeczywiście mu przynależnego, nie mając pieniędzy na naglące wydatki znowu pokasował klasztory męzkie, liczące 24,000 członków i zabrał im posiadany majątek. W r. 1843 Izabela doszła pełnoletności i mając niespełna lat 13 wieku ogłoszoną została królową Hiszpanji pod imieniem Izabeli II. W tym czasie sprawa Don Karlosa upadła, odstąpili go bowiem Baskowie za namową Espartery przyrzekającego im zachowanie wszystkich dawnych przywilei, rząd więc pozbawiony tak wielkiego kłopotu, pozwolił na powrót zakonów w r.1845 a w lat sześć późniéj niespełna, zawarł konkordat powracający prawo nabywania im własności.

W roku 1855 nakazano znowu zniesienie Jezuitów i innych zakonów mniéj jak 11 osób mieszczących w sobie, skutkiem czego upadło 900 klasztorów, a jednak zostało ich jeszcze przeszło tysiąc. W lat kilka Jezuici powrócili, teraźniejszy rząd tymczasowy usunął ich zatem i nakazał redukcją zakonów, w których znaleziono jeszcze 14,000 zakonnic i 20,000 zakonników, mieszkających w sześćset przeszło klasztorach.

Głośna niegdyś Inkwizycja św. utrzymywała się w Hiszpanji, aż do końca zeszłego stulecia. Rozpostarta po całym kraju, jeszcze w r. 1787 liczyła blisko cztery tysiące członków, działalność jednak jéj znacznie osłabła, bo w ciągu lat ostatnich 42 spaliła tylko 14 osób, co było niczem w porównaniu dawnych ofiar które na stos wysyłała.

W dawnych wiekach wpływ oświaty starożytnéj był wszędzie tu widoczny: kiedy średnie wieki przyduszały światło, ciemnota w Hiszpanji znacznie była mniejszą jak w innych krajach. Z odrodzeniem życia umysłowego, zaczęły powstawać szkoły i szkółki a nadto i uniwersytety, tworzące rodzaj stowarzyszeń naukowych, na uposażenie których zarówno od królów jak możnych panów, sypały się szczodre ofiary. Światło więc obejmowało cały naród, wciskało się wszędzie zarówno do miast jak wiosek i stopnie naukowe zapewniały rozmaite przywileje, a dla posiadających je ogólne poważanie. Naród więc przychodził do uznania swéj godności, do rozwoju wszelkich sił moralnych i materjalnych sprzężonych z sobą solidarnie i stanowiących jedyne motory społecznéj pomyślności. Stanem jednak tym tak wiele wróżącym dobrego nie cieszył się długo. W szesnastym już wieku nauczanie zaczęto wytrącać z rąk korporacji uniwersyteckich, a na początku siedmnastego przeszło ono zupełnie w ręce duchowieństwa. Druga też połowa XVII wieku i cały prawie wiek XVIII przedstawiały zupełnie upadek wszelkiéj oświaty, obudzony poprzednio już fanatyzm przyczynił się głównie do wypędzenia dwóch miljonów Maurów i blisko miljona żydów, co niezmiernie zubożyło i wyludniło Hiszpanję, a rozszerzając się z coraz większą gwałtownością, zatamowało tak dalece wszelki ruch umysłowy, że literatura owczasowa nie posiadając najmniejszego życia, nie wydała żadnego imienia z rozgłośniejszą sławą.

Co do organizacji wewnętrznéj państwa, od dawna prowincje miały oddzieloną reprezentację zwaną *las Cortes*, ale te jako niewygodne już w drugiéj połowie XVI wieku za Filipa II straciły swoje znaczenie, i nie odzyskały go aż dopiero w r. 1812, po ustaniu domowéj wojny. W tym też roku uchwaliły zaraz konstytucję na podstawie idei francuzkich, ale ta z powrotem na tron Ferdynanda VII ojca królowéj Izabeli została zniesiona i rząd zaprowadzono bez żadnych ograniczeń. Królowa wdowa Marja Krystyna jako rejentka pod czas małoletności Izabeli, prowadząc wojnę z Don Karlosem, pragnąc wydobyć siły z narodu do pokonania pretendenta, nadała w r. 1834 nową konstytucję, ale w niczem niepodobną do utworzonéj przez kortezów. Zaniepokojona jednak spiskiem wykrytym *w La Grania* w r. 1836 przywróciła konstytucję z 1812 r. która w następnym roku na nowo przejrzana, posiadała wszelkie warunki dobrobytu. Wykonanie jéj jednak nie miało miejsca, i dopiero rząd tymczasowy w roku zeszłym, ogłosił wolność handlu, odebrał liczne pensje wszystkim exdygnitarzom, usunął Jezuitów, zaprowadził swobodę prasy, stowarzyszeń, tolerancję religijną, cofnął pensję płaconą nuncjuszowi papiezkiemu i rozpisał pożyczkę w kraju i zagranicą.

O stanie finansów jakkolwiek opis ich byłby bardzo ciekawym i nauczającym, powiemy tylko słów kilka i zamkniemy je w jednéj cyfrze. Hiszpanja obecnie posiada blisko 20 miljardów realów długu. Real liczy się blisko 1 groszy. Bogactwo więc naturalne, kopalnie złota i srebra w Peru i Meksyku przez lat trzysta posiadane, żadnego nie przyniosły owocu. Nietolerancja i ciemnota wszystko zmarnotrawiły i kraj postawiły nad brzegiem przepaści, od któréj odsunie go jedynie światło nauki, ta pochodnia słoneczna, najtajniejsze skarby umiejąca znaleść i wydobyć, a najmniejsze niebezpieczeństwo przewidzieć i zapobiedz mu skutecznie.

Lamartine.

Francja straciła w tych czasach jednego z największych poetów swoich. Lamartine i Wiktor Hugo, to dwie gwiazdy pierwszorzędne na widnokręgu literackim Francji XIX wieku. Tym większa należy im cześć, że po długich latach stagnacji w literaturze, kiedy geniusz francuzki objawiał się wyłącznie w czynach bohaterskich na polu sławy, ci dwaj olbrzymi ducha, wystąpili pierwsi na widownię i podnieśli sztandar odrodzenia, sztandar który po dziś dzień przewodniczy narodowi na polu poezji.

Lamartine o dwanaście lat starszy od Wiktora Hugo, wcześniéj też od niego wystąpił. On pierwszy przełamał lody zastarzałych przesądów szkolarskich, on pierwszy rozwinął skrzydła, i pomknął jak orzeł w słoneczny świat ideału, do którego zużyty już klassycyzm zagrodził drogę poprzednikom.

Dziś też kiedy ośmdziesięcioletni starzec spoczął w grobie, kiedy w obec śmierci umilkły stronnicze niechęci, Lamartine dziwnie spotężniał w oczach współrodaków; cała Francja wykrzyknęła chórem: „Straciliśmy wielkiego poetę!“

Alfons Lamartine urodził się 21 października 1790 roku, w mieście Makon. Ojciec jego służył w wojsku królewskim. W początkach rewolucji opuścił Paryż i zamieszkał w majątku swoim w Burgundji. Komitet rewolucyjny dosięgnął go i w tem cichem ustroniu.

W r. 1796 kapitan Lamartine wtrącony został do więzienia. W kilka miesięcy jednak, uwolniono go i wrócono rodzinie. Obawiając się nowych burz, postanowił oddać się wiejskiemu gospodarstwu. Obrał więc na stałe mieszkanie starożytny zamek Milly, położony w dzikiéj okolicy. Miejsce to, gdzie upłynęły dziecinne lata Alfonsa, wyryło się mocno w dziecięcéj jego wyobraźni. Posłuchajmy jak je opiewa:

Oto ława drewniana, gdzie ojciec kochany
Odpoczywał po trudach: o téj sali ściany
Rozlegał się głos jego poważny a słodki,
Gdy bruzdy mu zorane obliczali kmiotki.
Tu biło silnem tętnem jego serce prawe
Kiedy nam rozpowiadał dzieje królów krwawe,
Gdy w boju wywalczoną oddychając chwałą
Poświęcenia i cnoty uczył dziatwę małą,
Oto miejsce, zkąd matka na głos ludzkiéj nędzy
Od ciepłego ogniska wstawała co prędzéj,
Z kąd odzieżą i chlebem obciążone dziatki,
Biegliśmy tak ochoczo w ślady drogiéj matki.
Oto chaty wieśniacze z słomianemi strzechy,
Gdzie koiła cierpienia balsamem pociechy,
Kędy nad konających pochylona łożem
W śmiertelnéj trwodze słowem krzepiła ich Bożem,
Gdy na pół skrzepłéj piersi kładąc rękę bratnią,
Ku niebiosom zwracała myśl biednych ostatnią.
Nieraz pomnę, zmarłemu gdy zamknęła oczy,
Kiedy grono ją sierot z boleścią otoczy,
Wskazując nas mówiła wdowie i sierocie:
„Wróćcie im to modlitwą, co wam daję w złocie.“

Prawda to niezbita, że nad kołyską wszystkich niemal ludzi wielkiego serca i genjuszu, czuwała zacna i bogobojna matka, istny anioł stróż, która uczyła wierzyć i kochać. Lata swoje dziecinne tak opisuje sam Lamartine.

„Matka moja miała starą Biblją, na któréj uczyła mnie czytać. Na każdéj stronicy były piękne obrazki, tu Sarą, tu Tobiasz z aniołem, tu Józef, tam Samuel. Dziwnie mnie zajmowały te sceny z życia patryarchalnego, w których bogata przyroda wschodu, splata się tak uroczo z prostotą pierwotnych obyczajów.

„Kiedy wypowiedziałem dobrze lekcją, i odczytałem bez omyłki pół stronnicy historji świętéj, moja matka odsłaniała obrazek, i trzymając otwartą księgę na kolanach, wyjaśniała mi go w nagrodę jego znaczenie.

„Była to dusza równie pobożna jak tkliwa. Każda myśl jéj była uczuciem, każde uczucie obrazem. Na jéj pięknem i szlachetnem obliczu, odbijał wydatnie płomień tlejący w duszy, malowała się myśl podniosła. Srebrny i harmonjalny dźwięk jéj głosu, uwydatniał każde jéj słowo i wrażał je głęboko w pamięć. Dziś jeszcze słyszę ten dźwięk, umilkły od tak dawna.

„Gdyśmy powracali z przechadzki, matka prowadziła nas do ubogich chatek wieśniaczych. Odwiedzając chorych brała nas zawsze z sobą. Jedno z nas niosło szarpie i maści, drugie chleb i wino dla ubogich.

Ja najstarszy z rodzeństwa, największy dźwigałem zwykle ciężar. Dobra matka chciała abyśmy uczestniczyli w jéj czynach miłosiernych, pragnąc błogosławieństwa dla nas ubogiego ludu, owéj rosy niebieskiéj.“

Pod skrzydłem tak świętobliwéj matki, wcześnie rozwinął się genjusz poety chrześcijańskiego. Zaledwie że skończył lat ośm, opuścił dom rodzicielski, i odwieczne topole w Milly. Oddano go do kollegium w pobliskim mieście. Tam uczył się wzorowo, co rok otrzymywał wieńce i nagrody; światli profesorowie zachęcali go do prac poetycznych, do których z prób młodzieńczych odgadli jego zdolność.

Gdy ukończył nauki w kollegjum, rodzice namyślali się jaki zawód obrać starszemu synowi. Ojciec dawny żołnierz pragnął żeby Alfons wstąpił do wojska, lecz matka w żaden sposób nie chciała przystać na to. Były to czasy wielkich tryumfów Francji, zwycięzkie orły Napoleona przebiegały całą Europę. Młody poeta, powolny życzeniom matki, udał się naprzód do Syonu, a następnie wyjechał do Włoch, w towarzystwie krewnych, którzy puścili się w tę podróż.

W krótce jednak nieodpowiednie towarzystwo znudziło młodziana. Napisał więc do Milly z prozbą żeby rodzice pozwolili mu porzucić towarzysza i podróżować samemu. Zaczem odpowiedź nadeszła, pojechał sam do Rzymu.

— Jeśli mi zabronią — mówił — będzie już po niewczasie połają to prawda i przebaczą w końcu; powrócę do nich, ale co wprzód poznam tego mi już nikt nie odbierze.

I ośmnastoletni chłopiec puścił się w podróż smiało, mimo że drogi Włoskie, były wówczas pełne bandytów. (d. c. n.)

Opis ryciny paryzkiéj.

Figura 1. Suknia z materji jedwabnéj mienionéj, szafirowéj z czarnem, ubrana tuniką i naszyciem. Kapelusz biały przybrany wstążką i piórem strusiem. Parasolka biała z podszyciem szafirowem.

Figura 2. Suknia z wyrobu *Sultane*. Dolna suknia ozdobiona bufkami białemi; tunika w paski wycięta w zęby; garnirowana frendzlą.

Figura 3. Ubranie dziewczynki. Suknia z karmazynowego fularu na wierzch tunika popelinowa popielata, garnirowana falbanką.

Opis deseni do haftu, dwóch kostiumów damskich i płaszczyka od deszczu.

N. 1 i 2. Spacerowy kostium „Britanja“ Kostium z tartanu w szafirowe i zielone kraty, złożony jest z krótkiéj spódnicy, bluzki i chusteczki z przodu skrzyżowanéj i związanéj z tyłu, co formuje rodzaj pufa. Dół spódnicy ozdabia dwie 15 cent. szerokie ukośne falbanki, na ½. cent. u dołu obrębione, u góry na 1½. cent. wyłożone i zmarszczone, co stanowi nagłówek. Wykrój szyi u bluzki, brzeg jéj przedni i ranwersy rękawów, otacza wązka fałdowana falbaneczka. Chusteczka ubrana jest ukośną falbanką, jak spódnica.

N. 3—4. Spacerowy kostium dla panienki od 12 do 14 lat. Kostium z popielatego wełnianego fularu złożony ze spódnicy, bluzki, chusteczki, paska z baskiną i szarfą. Garnirunek stanowią falbanki z tegoż materjału i pliski szafirowéj popeliny.

N. 5—6. Płaszcz od deszczu z „Waterproof.“ Jak wszystkie w ogóle płaszcze, robi się z nieprzemakającego water-proof popielatego lub w innym kolorze; w górze ma kapturek, podwójnie przykrojony. Na bokach się podnosi przez założenie na guziki sutaszu, przeciągniętego przez oba boczne szwy, co tworzy dość duże fałdy.

N. 7. Szlak na wyszycie serwety sukiennéj łańcuszkowym ściegiem.

N. 8. i 9. Deseń na pantofle długim ściegiem. N. 8. przedstawia przód pantofli, N. 9. boczną część pantofla. Wyszycie daje się na rypsie lub suknie; równe linje podwójne wymagają łańcuszka, kolorowego jedwabiu, tasiemki, lub sutaszu, reszta odrabia się długim ściegiem.

N. 10, 11, 12, 13. Rozmaite szlaki. N. 10. odrabia się stembnówką i węzełkami, N. 11. atłaskowym ściegiem, N. 12 i 13, szczególniéj używane jako wyszycie dziecinnych sukienek, wymaga łańcuszka kolorowego jedwabiu lub sutaszu, punkciki naszywają się małemi paciorkami, albo węzełkami.

N. 14—19. Rzuciki atłaskowe lub aplikowane na denka do czepków muślinowych, krawatek itd.

N. 20 i 26. Cyfry atłaskowe na bieliznę.

N. 27. Wineta z całem imieniem na chustkę.

N. 28.—34. Szlaczki i wszywki do bielizny damskiéj.

N. 35 i 36. Szlaczki do wyszycia kolorowego, jedwabiem lub sutaszem na serwety, pokrycia itp.

Opis kroju dwóch bluzek i stanika pod szyję dla panienki od 13 do 15 lat.

N. 1. Bluzka tybetowa.

Krój fig. 1 — 5. Całość bluzki fig. 6ta.

Bluzka ta brzegiem kołnierzyka i mankieta oblamowana jest 2½ cent. szeroko, ukosem tybetowym w białe i fijołkowe paski. Przyszycie pokrywa prosta pliska ⅝ cent. szeroka. Przód zapinają perłowe guziki, dane także przy mankietach. Fijołkowa jedwabna kokarda ozdabia bluzkę z przodu. Na bluzkę kraje się z materjału podług fig. 1 i 5 po dwie części, dodając do fig. 1. po 3. cent. na obrąb z przodu; (gładkie linje przy fig. 1 i 5, niemają tu znaczenia); podług fig. 2 i 3 po jednéj części w całości, podług Fig. 4 rękawy, uważając na kontury dolnéj jego części. Najpierw dają się obręby w przodach oraz dziurki z guzikami; daléj zeszywają się przody z tyłem podług odpowiednich liter i obrębia dół bluzki w około i wzdłuż rozporków na szerokość pół cent. Kołnierzyk perkalem podszyty, podwrębia się z brzegów, dając najwpierw obłożenie na pół cent. od brzegu po lewéj stronie, następnie należy je odwrócić i przytwierdzić po prawéj, przyczem na rogach powstaje fałda. Szewek ten pokrywa wspomniona już ⅝ cent. listewka dwa razy przestembnowana. Tak przygotowany kołnierzyk przyszywa się z lewéj strony, podług odpowiednich znaków do bluzki, co także pokryć trzeba ukosem ⅝ centymetra szerokim. Rękaw także podług liter zeszyty, otrzymuje u dołu mankiet mocno przystembnowany odpowiednio cyfrom, który poprzednio tak jak kołnierzyk perkalem podszyty, obłożyć należy; poprzeczna strona wymaga dziurek i guzików. Przyszywając mankiet do rękawa uważać trzeba, żeby obie boczne jego strony, zachodziły na siebie, aż do gładkiéj linii. Górny brzeg rękawa układa się w fałdę, przyczem krzyżyk na kropce przypada, i wpuszcza w pachę podług odpowiednich znaków. Kokarda jedwabna pod kołnierzykiem składa się z węzła i dwóch wystrzępionych końcy. Pasek jedwabny fijołkowy.

Do bluzek płócienkowych z wyrobu *écrue*, obłożenie do kołnierzyka i mankietów daje się z perkaliku w paski.

N. II. Bluzka muślinowa ubrana koronką.

Fig. 7. Rękaw.

Fig. 8. Całość bluzki.

Bluzka ta robi się z gładkiego muślinu, przegradzanego muślinem w zakładki. Garnirunek tworzy 2½ cent. szeroka koronkowa wszywka, przyszyta podług wskazówek. Muślin pod nią należy zupełnie wyciąć. Prócz tego idzie kontrafałdowana 2 cent. szeroka koronka, ubierająca bluzkę jak to wskazuje rycina; przyszycie téj falbanki pokrywa wszędzie haftowany muślinowy pasek. Przód bluzki zdobi popielata atłasowa kokarda. Plecy i przody przyrządzają się podług prostéj zupełnie formy, z zaszewkami w przodach; garnirunek daje się cokolwiek podłużnie. Podług N. 7 przykrajane rękawy z uwagą na kontury dolnéj części, łączą się stosownie do cyfer, ubierają garnirunkiem, otrzymują w górze fałdę, oznaczoną krzyżykiem i kropką i wszywają w wypustkowaną pachę, który to szew pokrywa także wspomniona falbanka z koronki.

N. III. Stanik pod szyję dla dziewczynki od 13—15 lat.

Krój fig. 9—13. Całość stanika fig. 14.

Suknia z popielatego kretonu, ubrana szelkami i garnirunkiem z popeliny czarnéj w białe kraty. Na staniczek kraje się z wierzchu i perkalu na podszewkę podług Fig. 9 i 10 po dwie części z dodatkiem 3 cen. przy przodach na obręby; podług Fig. 11 jedną część w całości, podług Fig. 12 rękawy uważając na dolne ich kontury. Przód ubiera się aż do gładkiéj linji popelinowemi pasami, przyszycie których pokrywa 1 cent. szeroka kretonowa pliska. Przód prawy otrzymuje 3. cent. szeroki obrąbek, gdzie wypadają dziurki do zapięcia. Lewy przód podwrębia się tak, żeby dodane 3. cent. stanowiły ukrytą listewkę; — przód stanika dostaje guziki. Po zrobieniu zaszewek, przody, boki i plecy łączą się podług odpowiednich znaków. Obwód szyi, obejmuje się paskiem podwójnym z popeliny i lustryny jako podszewkę. W bokach i zaszewkach, dają się miękkie fiszbiny. Rękawy podług odpowiednich znaków zeszyte podszywają się u dołu 3. cent. szeroką lustrynową listewką, ubierają z wierzchu dwoma ukośnemi pasami w kraty, 3. cent. szerokości, których przyszycie pokrywa kretonowa pliska, a dodawszy im w górze fałdy na krzyżyku i kropce, wpuszczają w wypustkowaną pachę, podług odpowiadających znaków. Nakoniec daje się szelkowe ubranie stanika. Podług fig: 13, przyrządza się w tym celu, z popeliny i lustryny jako podszewkę dwie równe części, podwrębia się podwójne brzegi i oszywa w koło kretonową pliską. Następnie szelki te, przyszywają się na staniku podług odpowiednich znaków. Stanik podług ryciny, ozdabia się jeszcze popelinowemi kokardami na ramionach, i obciska paskiem popelinowym, obiętym kretonową pliską.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana, i arkusz z deseniami do haftu, wzory kostiumów, płaszczyka od deszczu, oraz kroje bluzek i stanika pod szyję dla panienki od 13 do 15 lat.

Od redakcji. W kwartale czwartym r. b. rozpoczynającym się z dniem 1 Października, Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Cena prenumeraty wynosi: Kwartalnie w Warszawie rs. 1 k. 80 na prowincji zarówno w Cesarstwie jak Królestwie rs. 2 kop. 50.

Pieniądze prosimy nadsyłać *wprost do Redakcji* pod adresem mieszczącym się w każdym numerze.

Druk Karola Kowalewskiego. Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

DODATEK do № 37 TYGODNIKA MÓD 1869 r.

1 i 2 Kostium „Britanja" (przód i plecy)
3 i 4 Kostium spacerowy dla panienki od 12 do 14 lat
5 i 6 Obrycie na deszcz z Water-proof (plecy i przód)
7 Szlak na wyszycie serwety (łańcuszkowy ścieg)
8 i 9 Deseń na pantofle
10, 11, 12, 13 Szlaki na sutaszowe wyszycie suknienek, serwet i t. p.
14, 15, 16, 17, 18, 19 Rzucik attachowany lub ajurowany na denka czepków, poszewek i t. p.
20 i 21 Attachowe cyfry na poszewki
22 i 23 Attachowe połączone cyfry na bieliznę
24 Litery attachowe w punkcikowe
25 i 26 Litery połączone do znaczenia bielizny
27 Imię „Paulina" do znaczenia chustki
28 Szlaczek do koszul
29, 30, 31, 32 i 33 Desenie na robótki haftowane
34 Szlaczek attachowy
35 i 36 Szlak na wyszycie serwet jedwabiem, sutaszem i t. d.

Paulina

1

2

3

4

5

6

Fig:13

Fig:10

Fig:7

Fig:12

Fig:4

Fig:1

Fig:3

Fig:6

Fig:8

Fig:14

Fig:2

Fig:9

Fig:5

Fig:11

№I Bluzka z płócienka (toile écrue)
Fig1 przód bluzki
» 2 połowa plecow
» 3 połowa kołnierza
» 4 rękaw
» 5 mankiet
» 6 całość bluzki
№II Bluzka muślinowa
Fig7 rękaw
» 8 całość bluzki
№III Stanik pod szyję dla panienki od 13 do 15 lat
Fig:9 przód bluzki
» 10 boczek
» 11 połowa plecow
» 12 rękaw
» 13 garnirunek
» 14 całość bluzki

połowy rękawa (Fig:12)
kontur boczny dolnej połowy rękawa (Fig:12)
połowy rękawa (Fig:4)
środek kołnierza
kontur boczny dolnej połowy rękawa
górny brzeg połowy rękawa
środek plecow do bluzki z szarego płótna
(Fig 2)
(Fig 4)
(Fig 12)
(Fig 13)
(Fig 14)
(Fig 7)
(Fig 8)
(Fig 9)
(Fig 10)
(Fig 11)
(Fig 1)
(Fig 2)
(Fig 3)
(Fig 5)
(Fig 6)
linja na garnirunek
podłużny
(Fig 2)
nadbiodrze
(Fig 1)
tuzika perkalowa
garnirunek stanika
rozporek (Fig 9)
rozporek (Fig 2)
rozporek (Fig 9)
zaszewka (Fig 9)
zaszewka (Fig 9)
środek plecow do stanika pod szyję dla dziewczynki od 13 do 15 lat